

RODZINA
POLSKA

MIESIĘCZNIK ILUSTROWANY



CZY WIECIE, ŻE LICZĘ SOBIE JUŻ 200 DNI?

ROK
VIII

WARSZAWA

Nr.
3

NOWOŚĆ!

NOWOŚĆ!

O. PAWEŁ MANNA, Misj. Ap.

ZA MAŁO ŻNIWIARZY

Z przedmową J. E. Ks. D-ra ANTONIEGO JULJANA NOWOWIEJSKIEGO, arcybiskupa siljońskiego, biskupa plockiego, asystenta tronu papieskiego, Prezesa Związku Misyjnego Duchowieństwa w Polsce.

W przedmowie tej czytamy:

„Wprawdzie mówi się i pisze wiele o potrzebie Misyj, o środkach, które dają nam możność osiągnięcia pragnień serca nasze tłoczących, i o wielu innych rzeczach, które wskazują drogę do Misyj, ale takiej książki, któraby ujmowała wszystko w jednym dziele, nie mamy. Niechże więc ta książka, „Za mało żniwiarzy”, szerzy te pejęcia, które nas prowadzą do najszlachetniejszych celów na ziemi”.

Stron 272.

Cena zł. 2.40

Cenne źródło materiału do kazań i akademij misyjnych.

WYDAWNICTWO KSIĘŻY PALLOTYNÓW
WARSZAWA, KRAKOWSKIE PRZEDMIEŚCIE 71.

Czy wiesz, ←

→ **że**

potęga Katolicyzmu
w Polsce jest zależna
od potężnej katolickiej
prasy?

**Dlatego czytaj i rozpowszechniaj
PISMA KATOLICKIE!**

Prosimy o wpłacanie prenumeraty za I-szy kwartał

**Czy już znacie
„POSIEW”**

**tygodnik katolicki
dla wsi i miast?**

Żądajcie bezpłatnych numerów okazowych!
WARSZAWA, KRAK. PRZEDMIEŚCIE 71.

Najmilszem pismem dla dzieci jest
MAŁY APOSTOŁ

Dziecko, które dostaje go raz do ręki, staje się jego wiernym przyjaciele.

Niska prenumerata, 1,70 zł. rocznie, umożliwia jego czytanie wszystkim. Pożytek wielki.

Zamawiać pod adresem:

Mały Apostoł Warszawa
Krak. Przedmieście 71.

POTĘGA POLSKI —
TO MORZE

CZYTAJCIE I ROZPOWSZECHNIAJCIE „RODZINĘ POLSKĄ”

Cena ogłoszeń zatekstowych: 1/1 str. — zł. 700, 1/2 — zł. 380, 1/4 — zł. 200, 1/8 — zł. 120, 1/16 — zł. 70, 1/32 — zł. 40.

PRENUMERATA „RODZINY POLSKIEJ” W KRAJU I ZAGRANICĄ WYNOŚI:

ROZCZNIE:

Polska	zł. 7	Czechosłowacja	kor. cz. 40
Niemcy	R. mk. 5	Ameryka	dolary 1,50
Francja	frank 25	Inne kraje	fr. szw. 7

PÓŁROCZNA prenumerata w Polsce — 3,50 zł.; KWARTALNA — 2,00 zł. Cena POJEDYŃCZEGO nr. — 70 gr.

Adres REDAKCJI I ADMINISTRACJI: Warszawa, Krak. Przedmieście 71.
Telefon: 240-15 P. K. O. 14.664.

Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki od godz. 11—1 przed poł. Rękopisów niezamówionych redakcja nie zwraca.

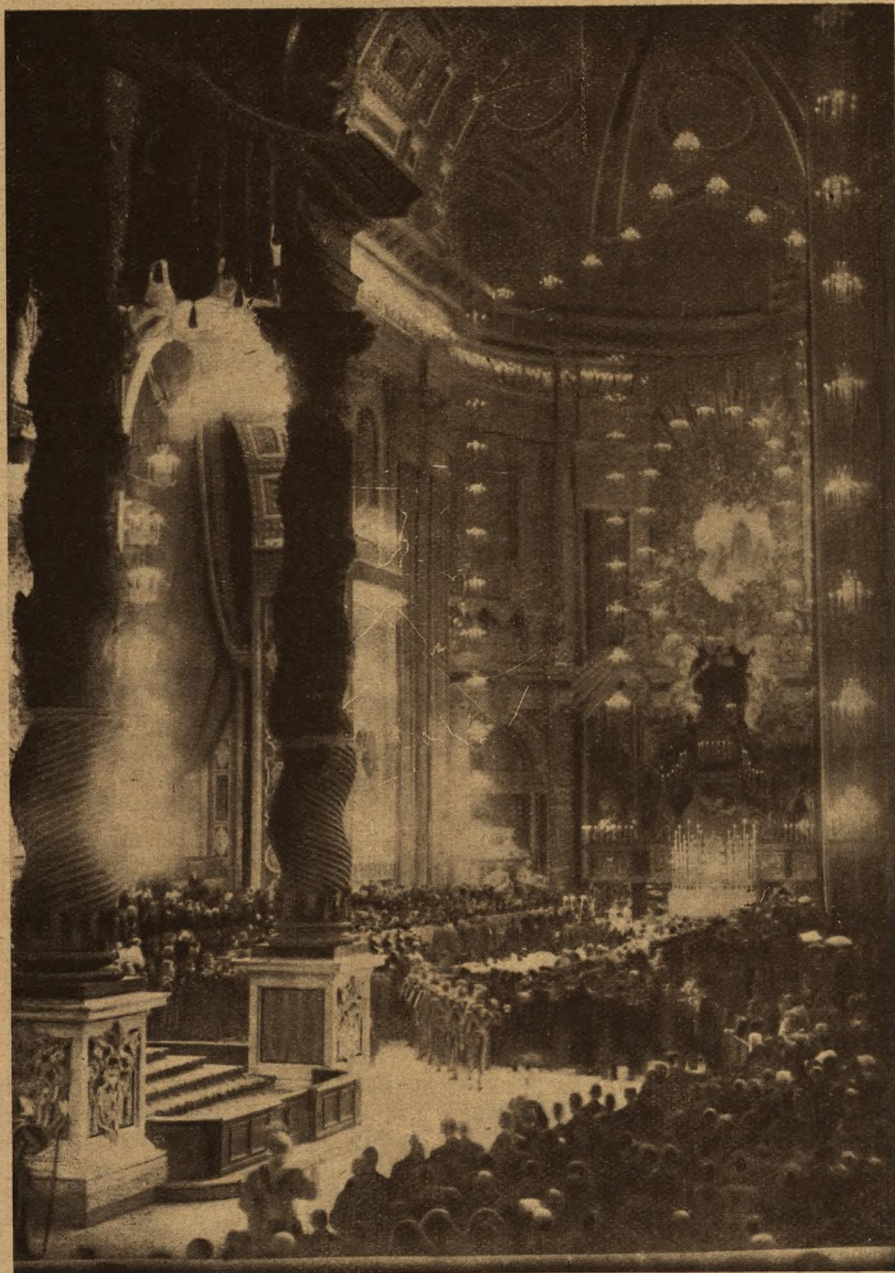
RODZINA POLSKA



MIEŚCZNIK
LUSTROWANY



ROK VIII. WARSZAWA, MARZEC 1934.



Bazylika św. Piotra i Pawła w Rzymie w czasie uroczystości kanonizacyjnych.

METODA W SZALEŃSTWIE

Słowo kryzys powtarzają dziś wszyscy. Taka jest moda. Wytarte przez tyle ust straciło swą barwę, kształt i smak właściwy. Urosło a raczej spuchło przez to ciągłe obijanie wśród ludzi do wielkości jakiegoś metafizycznego koszmaru.

Zgoła niepotrzebnie. Kryzys nie jest bynajmniej rzeczą nie z tego świata. Jest okresową przypadłością ludzkości. Ludzie wywołali kryzys, jak ktoś złośliwie powiedział „wyprodukowali“ i ludzie mogą go też przezwyciężyć, wyeksmitować gdzieś w przestrzenie międzyplanetarne.

Jeśli największą sztuką jest umiejętność życia — jak powiedział lord Paradoxs — to kryzys świadczy wymownie, że ten najwyższy artyzm jest najmniej powszechny.

Któż z nas nie oglądał fortepianu Chopina! Nic osobliwego — ostatecznie. Podłużne pudło, lakierowane na kasztanowy kolor. Trochę kości słoniowej na klawiszach. Trochę drutu wyciągniętego w struny. Trzy baryłkowane nogi. Cud muzyki Chopina niewątpliwie nie jest zaklęty w tem pudle. Jest to narzędzie bardzo niedoskonałe, które uszlachetnił i wykorzystał dopiero geniusz mistrza. A zresztą i najnowocześniejszy instrument sam przez się nie stworzy jeszcze wielkiej muzyki...

Całe życie gospodarcze świata i Polski także przypomina mi takie martwe pudło fortepianu. Gdzież jest mistrz, który wydobędzie z niego nową harmonję?

Oczywiście nasz współczesny fortepian gospodarczy jest więcej skomplikowany, bardziej olbrzymi, niż dawniej. Ale byłoby ubliżeniem rozumowi człowieka, gdyby zrezygnował z opanowania kryzysu harmonji gospodarczej. Nie jest przecież koniecznością powtarzanie historii wieży Babel.

Pałacem zadaniem w chwili obecnej staje się przezwyciężenie kryzysu. To znaczy osiągnięcie wyższej umiejętności życia, która pozwoli na harmonijne wykorzystanie dóbr gospodarczych przez wszystkich. W tym kierunku kryzys jest niewątpliwie szkołą umiejętności życia.

Jakież są jego najcharakterystyczniejsze objawy? Bezczyność kapitałów i bezczynność rąk — brak pracy! Niemożność, nieumiejętność powiązania kapitału z pracą na płaszczyźnie godziwego zysku obu stron jest właściwie kwintesencją kryzysu. Skoro bowiem przyrost bogactw, do których pomnażania przez pracę wzywane są wszystkie społeczeństwa, — jest swego rodzaju celem, to jakże można go osiągnąć, jeśli całe miliony ludzi pozostają bez pracy wbrew swej woli, wbrew przyrodzonej potrzebie pracy.

Warsztaty pracy istnieją niby ów fortepian, potrzeby społeczno-gospodarcze są olbrzymie, (większe chyba od potrzeb estetycznych). Niema tylko mistrzów zdolnych wydobyc harmonję gospodarczego współżycia. Tak dalej być nie może.

Warsztat naszego życia gospodarczego nie może pozostawać niemy i bezczynny, gdy jednocześnie miliony ludzi są głodne i nagie. Hasło ograniczenia życia gospodarczego, co się zwłaszcza wyraża w polityce deflacji nie jest zatem zasadą, na której moglibyśmy się w tych warunkach oprzeć na stałe.

Rozumiemy zresztą deflacionistów, tych w praktyce chorążych defetyzmu gospodarczego. Gdy podniecony owsem inflacji rumak gospodarki rozbrykał się

i zwał ich do rowu, wystraszeni poczciwcy zarzekają się wogóle konnej jazdy.

To szaleństwo — wołają przerażeni.

Zapewne jest w tem pewne szaleństwo i ryzyko. Ale bo też tylko śmiałym sprzyja fortuna.

Oczywiście świat musi się najpierw nieco podleczyć ze skutków upadku do rowu kryzysu, musi opanować chorobę nadmiernej inflacji, która zwłaszcza w zakresie produkcji rolniczej doprowadziła do absurdalnej hipertrofji (choćby te światowe zapasy pszenicy na dwa lata. — W Polsce zresztą mamy inny paradoks — deficyt pszenicy). Gdy to nastąpi, dopiero wówczas radzimy dosiąść rumaka ekspansji gospodarczej.

W przeciwnym razie byłoby to rzeczywiście stu procentowe szaleństwo. Głupstwem jednak byłoby rezygnowanie całkowite ze wzmożenia życia gospodarczego.

Aby uniknąć tych dwu ekstremów: głupiego załknięcia i szaleńczego rozmachu, wysunęliśmy dosadnie pojęcie metody w szaleństwie.

Czasy sielanki rzemieennego dyszła minęły bezpowrotnie, nowe życie ma coraz bardziej zawrotne tempo, chodzi o wykrycie zdrowej formuły wzrostu tego tempa, tak, by nie groziła nam razporaz katastrofa. Teorie katastrofizmu dziejowego, jak dotąd, były usprawiedliwione, ale nie znaczy to chyba, że i na przyszłość katastrofy społeczno-gospodarcze mają być koniecznym składnikiem dziejów ludzkich, a zwłaszcza nie jest chyba niedorzeczne usiłowanie ograniczenia ich niebezpieczeństwa, jak ograniczeniem niebezpieczeństwa powodzi jest regulacja biegu rzeki.

Chodzi o to, by wydobyć nareszcie z instrumentu gospodarki ludzkiej wielką symfonię patetyczną, wyrażającą zdrowy rozmach życia, by zgłuszyć do pewnego minimum wszystkie tragiczne akcenty biedy i nędzy, głodu i chłodu, słowem opanować katastrofę kryzysu i pokryć ją nową falą rozumnej ekspansji gospodarczej.

Skoro wysunęliśmy pojęcie symfonii życia gospodarczego to automatycznie wynika stąd zasada pewnego umiaru, pojęcie właściwego tempa wzmacniania ekspansji gospodarczej.

Jeśli by hasło ekspansji życia gospodarczego wyglądało dzisiaj na ryzykancki poryw szaleństwa, to straci ono ten przypadkowy posmak, skoro wzniesiemy je na fundamentie wspomnianej zasady umiaru.

Co to znaczy w praktyce? Znaczy to, że całość życia gospodarczego musi być oparta na jednym mianowniku, że założenie całej gospodarki musi być wspólne.

Wspólny mianownik? Cóż to za nowe, czcze gadanie? Tylko napozór. Kto wymyśli się w to pomieszanie języków doktryn ekonomicznych, w to pomieszanie stylów gospodarczych na tych samych odcinkach życia, te niezdrowe konkubiny kapitalizmu i socjalizmu, te inwazje etatyzmu na uprawne pola ekonomii liberalistycznej, te zapożyczenia się od komunizmu, dla niepoznaki i zdeзорientowania krewnych „ochrzczonego“ — kto przebiegnie krytycznym okiem cały ten bałagan koncepcji, dążeń i usiłowań ekonomicznych, ten zgodzi się z nami, że tak dalej być nie może. Potrzeba wspólnego mianownika doktryny ekonomicznej jest rzeczą pierwszorzędnego znaczenia. Trzeba ustalić wyraźnie, czem ludzkość chce być pod względem ustroju spo-

teczno-ekonomicznego, — czem chce? Czem musi być, zważywszy na nieubłaganą logikę dyspozycji duchowych, społecznych i ekonomicznych jej rozwoju. Wszelki tępy doktryneryzm musi zostać bez litości zlikwidowany.

Cóż więc zostanie w tym wspólnym mianowniku? Kilka podstawowych prawd, które poprzez wieki wykazały swą śpiżową wartość. A więc prawo własności i obowiązek godziwego jej wykorzystywania, prawo, co za tem idzie, bogacenia się, przyrostu majątku, nieograniczone idjotycznymi i zbójceckimi ustawami fiskalnymi, chociaż ograniczone zasadą godziwego zysku. Prawo pracy dla wszystkich, czyli umożliwienia ekspansji gospodarce każdej jednostce fizycznej i gospodarce przy uwzględnieniu wyżej wyłuszczonej zasad.

I to byłoby prawie wszystko, co w tym mianowniku należy pomieścić. Niestety, któż u nas zdaje sobie sprawę z potrzeby takiego wspólnego mianownika zasad gospodarczych, a zwłaszcza tego rodzaju zasad gospodarczych. Tego niestety u nas się nie rozumie. A wskutek tego nie robi się nic dla sprawy zharmonizowania życia gospodarczego. Hasła rewizjonistyczne, które padają, czuć gorączką kryzysu, brak im światła przytomnego rozumu.

Weźmy choćby tak bardzo popularną sprawę nożyc.

Wszyscy się wysilają nad ich zamknięciem. Rzadko kto jednak zdaje sobie sprawę z istotnych przyczyn chorobliwego ich rozwarcia; a przez to tak trudno o właściwą receptę.

Niewątpliwie najbledniejszą z nich jest recepta, głosząca konieczność jednoczesnej zwyżki cen płodów rolniczych przy niżce cen produktów przemysłowych. W tej nedorzecznej koncepcji — jak to słusznie napiętnował jeden z byłych naszych ministrów rolnictwa, Raczyński — mamy zupełne pomieszanie dwu stylów: inflacyjnego i deflacyjnego. Jest wierutnym głupstwem przypuszczenie, że na tej drodze uda się zamknąć nożyce. Jest niemożliwe, aby zboże szło w górę, a wyroby przemysłowe w dół. Kierunek w dół ewentualnie w górę może i musi obowiązywać wszystkich albo nikogo.

Dobrze, cóż więc począć?

Przyjrzyjmy się baczniej tym nożycom, aby stwierdzić, co nie pozwala na ich zamknięcie. Już powierzchowna obserwacja wskazuje, że wdarł się między ich ramiona szkodliwy intruz, który tamuje ich zbieżny ruch.

Któż to? — Paskarskie pośrednictwo handlowe.

Jeśli weźmiemy pod uwagę, że pewne kategorie płodów rolnych, jak np. nabiał, wykazują różnicę w cenie u producenta w porównaniu z ich zbywcą detalicznym, sięgającą 300 do 400 proc. — to łatwo stąd przychodzi wysnuć wniosek, gdzie tkwi główna przyczyna rozbieżności poziomów cen. Tego rodzaju pośrednictwo handlowe, wytwarzające podobne anomalje jest pasożytem społeczno-gospodarczym, który musi być w sposób bezwzględny zlikwidowany. Podobnie przedstawiają się rzeczy, jeśli chodzi o handel wyrobami przemysłowymi. Nic dziwnego, że wywołuje to katastrofalną rozpiętość cen detalicznych, gdy cennik hurtowy obu zasadniczych gałęzi produkcji jest naogół dość zrównoważony.

Oczywiście, że nakreślona powyżej sytuacja przeczy zasadzie umiaru i rytmu gospodarczego, którą wysunęliśmy na czoło.

Więc dobrze, jaką jednak należy dać dyrektywę w zakresie kształtowania się cen? Zdaniem naszym, ceny winny i muszą kształtować się niżkowo i to bez

żadnych przywilejów dla tych czy dla owych. Conajwyżej znów wysunie się kwestja właściwego tempa w przeprowadzeniu tej tendencji, aby nie wywołała ona krzywdy tego lub owego działu czy gałęzi produkcji. Fakt istnienia cen sztywnych, uprzywilejowanych, musi zostać przełamany. Nie oponując przeciw samej koncepcji karteli, musimy się tu kategorycznie przeciwstawić ich dyktaturze cennikowej, która podobnie jak dyktatura paskarskiego handlu psuje rytm gospodarczy, wykrzywia linię rozwoju życia społeczno-gospodarczego. Czem się np. tłumaczy fakt, że węgiel polski jest droższy od angielskiego, jakkolwiek cena robocizny jest w Polsce niższa w porównaniu z Anglią o 10 proc., gdy koszty handlowe są również znaczniejsze? Na to pytanie łatwo jest dać odpowiedź, o ile nie jest się bałwochwałcą monopolu wyzysku, stworzonego przez kartele.

Hasło obniżenia cen jest nakazem zdrowego rozsądku gospodarczego. Przeprowadzenie tego hasła n'e może nikogo ominąć i oszczędzić.

A więc nie mamy tu zamiaru stwarzania jakiegos przywileju dla rolnictwa. Wyjście z jego ciężkiego położenia, na które niewątpliwie składają się i takie czynniki jak nedorzeczny system fiskalny i ubezpieczeniowo-społeczny, jak zła organizacja kredytu długoterminowego zwłaszcza, znajduje się przedewszystkiem na linii obniżenia kosztów własnych, a przez to potanieńa produktu.

Czy jest to możliwe? Czy nie wymagamy jakiegos heroizmu od rolnika, który ma torować drogi przez wszystkich zaniedbane?

Bynajmniej. Przemawiamy tu tylko w imię zdrowego rozsądku. Nie wołamy o żaden cud, jeno o nową, lepszą organizację produkcji, o odsunięcie z niej tego wszystkiego, co dotąd było na łasce przypadku i żywiołów. Wiemy wszyscy, jakie straty poniosło rolnictwo w niektórych częściach kraju z powodu klęski t. zw rdzy. Czy klęska ta była rzeczywiście koniecznością dziejową, której ani przewidzieć, ani odwrócić nie można? Pozwalamy sobie w to wątpić, jak najkategorycznie.

Zanim odpowiemy na pytanie, uczynimy małą dygresję w kierunku opisu położenia rolnictwa w Niemczech. Sytuacja jego jest identyczna, jeśli nie gorsza od losu rolnictwa naszego. Zadłużenie tego rolnictwa, zwłaszcza w Prusach idzie w miliardy i dawno już przekroczyło wartość substancji majątkowej. Trudno sobie wyobrazić, by w tych warunkach nie nasuwała się rolnikom łatwa formuła ratunku, by nie pojawiał się na ich ustach desperacki krzyk „Giniemy“! Formuła ta brzmi stereotypowo: „Ulgi podatkowe. Bariera celna. Zniżka cen przemysłowych. Inflacja, waloryzacja długów“ etc.

Znalazło się jednak w Niemczech grono ludzi, które mówi na to: nie tędy droga.

Zajęto się z właściwą Niemcom pedanterją przestudjowaniem warunków egzystencji rolnictwa. Wyniki tych badań są wręcz rewelacyjne. Z przesadną może skrupulatnością wyliczono, że rolnictwo może zaoszczędzić na kosztach własnych dwa miliardy marek.

Cały ten problem wyświecił naukowo inż. Kauth. Stwierdza on, że dalsze śrubowanie cen wytworów rolniczych w Niemczech nic rolnikowi n'e pomoże. Przeciwnie doprowadzi jedynie do spadku konsumpcji. Pozostaje jedyna logiczna droga wyjścia: zniżka cen. Skoro jednak przy dotychczasowym stanie kosztów produkcji n'e można myśleć o niżce cen, stąd nasuwa się wniosek o konieczności obniżenia tych kosztów.

(Dokończenie nastąpi).

GOTYK WITA STWOSZA

Daremne są usiłowania niektórych historyków sztuki, by twórczość artystyczną Stwosza uzależnić od wpływów innych, jemu współczesnych, artystów, od szkoły niemieckiej, francuskiej, czy niderlandzkiej. Zapewne, że wpływ do pewnego stopnia istnieć musiał, ale był natury ogólnej, a sztuka Stwosza rozwinęła się na podłożu jego indywidualnego geniuszu tak, iż stał się on w gotyku średniowiecznym zjawiskiem jedynym, własny rodzaj gotyckiego stylu wytworzył.

Nie będziemy przeto poświęcali wiele miejsca sprawie wykształcenia się Stwosza w sztuce, tembardziej, że co do tego niema wiadomości na źródłach historycznych opartych. Możemy tylko stwierdzić, że w Krakowie, gdzie Stwosz od wczesnej młodości żył, już za czasów Kazimierza Wielkiego, przy wzroście zamocności, zakwitły sztuki piękne. Król zdołał zamek krakowski, wznosił po kraju świątynie, upiększał je rzeźbą i malowaniem, uposażał w kosztowne sprzęty. Pod Jagiellonami doszły sztuki do wysokiego stopnia doskonałości. Władysław Jagiełło sprowadził ruskich malarzy, miał też nadwornego malarza Wężyka, który wizerunki królewskie i różne zdarzenia malował. Wiadomo, że Jagiełło ofiarował Jadwidze przed ślubem swój portret, być może, przez tegoż Wężyka namalowany. Za Kazimierza Jagiellończyka, kiedy żył i pracował w Krakowie Wit Stwosz, cechy malarzy, snycerzy, rzeźbiarzy, złotników, rotgisarzy (odlewaczy), liczyły wielu uzdolnionych majstrów; nie brakowało więc naszemu mistrzowi sposobności do wykształcenia się w tych artystycznych rzemiosłach. Wielki talent i zaznajomienie się z współczesną sztuką przez wyjazdy zagranicę, dopełniły wykształcenia.

Najwcześniejszymi dziełami Stwosza, które do nas doszły, są miedzioryty, czyli szyćchy. Za młodu bowiem pracował, według wszelkiego prawdopodobieństwa, w warsztacie odlewniczym swego ojca Hanusza Stwosza, który był rotgisarzem, t. j. odlewaczem metali i puszkarzem królewskim. Czelował odlewy, grawirował płyty spiżowe na nagrobki przeznaczane, rytował na miedzi i odbijał na papierze wzory dla odlewaczy, snycerzy i malarzy. Znane są następujące szyćchy Stwosza: Święta Rodzina, Złożenie Chrystusa do grobu, Ścięcie św. Pawła, Św. Genowefa, Madonna w alkierzu, Madonna z jabłkiem, Ścięcie św. Katarzyny, Jawnogrzeźnica i Wskrzeszenie Łazarza.

Ponieważ odlewnictwo nie jest sztuką samodzielną, ale reprodukcją, bo rzeźba daje mu treść, przeto Stwosz, będąc artystą twórczym, od początku poświęcił się snycerstwu i rzeźbiarstwu w kamieniu. Oczywiście jest rzeczą, że zanim doszedł do tej doskonałości w sztuce, która dała ołtarz w kościele Najśw. Marii Panny w Krakowie, musiał poprzednio wiele pracować i długi szereg dzieł niepospolitych wykonać. Niestety mało z tego czasu utworów Stwosza dotrwało do naszych czasów, z nastaniem bowiem renesansu i baroku usuwano z kościołów i niszczone gotyckie ołtarze, rzeźby i malowidła. Z tych zaś, które dziś jeszcze oglądamy, nie wszystkie dadzą się rozpoznać, jako utwory Stwosza własnoręczne. Nie było bowiem w średnich wiekach zwyczaju kładzenia podpisu autora na każdym utworze, dlatego zdania znawców sztuki co do niektórych wcześniejszych dzieł, nie noszących jeszcze wybitnych znamion talentu Stwosza, są podzielone, tembar-

dzie, jeżeli kto do wszystkich przykłada miarę brana z Mariackiego ołtarza.

Tak np. grupę Chrystusa na górze Oliwnej w towarzystwie trzech apostołów, która znajduje się w kapliczce przy kościele św. Barbary, jedni uważają za wczesne dzieło Stwosza, drudzy temu zaprzeczają. Podobnie tryptyk św. Jana Chrzciciela, znajdujący się w kościele św. Florjana na Kleparzu, jedni stanowczo zaliczają do utworów Stwosza (Żebrawski), inni stanowczo to zdanie odrzucają (Puszet). Również nie wszyscy uznają za dzieła Stwosza ołtarze-tryptyki w kaplicy Św. Krzyskiej w katedrze na Wawelu, wielu zgadza się tylko na jego współdziałanie w robocie snycerskiej i na jego autorstwo ośmiu obrazów namalowanych na skrzydłach jednego z tych ołtarzy.

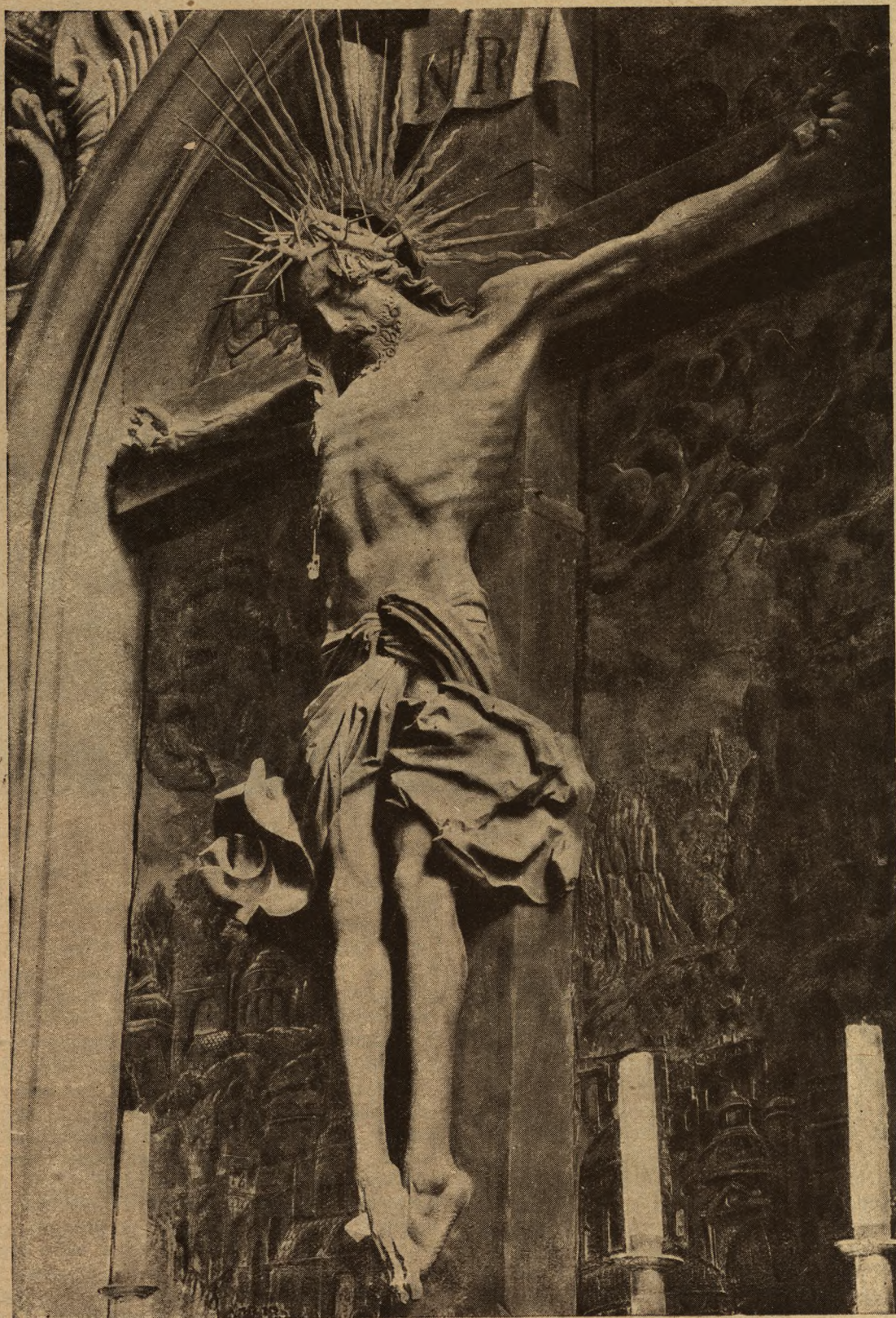
Do dzieł niewątpliwie Stwosza, a zarazem jego utworów najwspanialszych, które są w Polsce, należą: Ołtarz w kościele N. M. P., krucyfiks w bocznym ołtarzu i krucyfiks w tęczy w tymże kościele, zaś w katedrze na Wawelu grobowiec króla Kazimierza Jagiellończyka, płyta grobowa Piotra Kmity i także płyta kardynała Fryderyka Jagiellończyka. Nie tak wspaniałemi, ale godnymi uwagi są: Ogrójec w ścianie domu naprzeciw kościoła Mariackiego wmurowany i pomnik z brązu Kallimacha w kościele Dominikanów.

W ołtarzu Mariackim talent Stwosza zajaśniał w całej pełni, a jego zamiar ozdobienia rodzinnego miasta dziełem niezwykle pięknym, powiódł mu się w zupełności. Niema na świecie ołtarza-tryptyku tak kolosalnych rozmiarów, ani takiego, któryby go przewyższał pod względem artystycznej wartości. Również wśród wielkiej liczby krucyfiksów, które Stwosz wykonał, jest krucyfiks Marjański arcydziełem, mogącem iść w porównanie ze wszystkimi najwyższymi. Dzieło to sprawiało zawsze wielkie wrażenie, nie tylko na współczesnych, ale i wieki następne je ceniły, a pobożność uznała ten krucyfiks za cudowny. Krucyfiks w tęczy kościoła Mariackiego posiada wszystkie cechy mistrzowskiego dłuta Stwosza, jest podobny do poprzedniego, ale tworzy typ odmienny.

Grobowiec Kazimierza Jagiellończyka, który Stwosz wykonał na zamówienie królowej Eżbiety, budzi podziw nie tylko z powodu artyzmu, ale i niezrównanej techniki rzeźby. Stwosz widocznie chciał się popisać zdolnością wyczarowania w najtwardszym marmurze, jakim jest solnogradzki, tak mistycznych i delikatnych kształtów, jakich nikt inny nie potrafiłby wyrzeźbić. To też na tym jednym tylko swoim utworze podpisał się pełnym imieniem i nazwiskiem: Feit Stvos.

W pobliżu, na ścianie, naprzeciw wejścia do grobów królewskich, znajduje się płyta spiżowa Piotra Kmity, znakomite dzieło Stwosza, które niektórzy krakowscy historycy sztuki przypisywali dawniej Piotrowi Vischerowi z Norymbergi. Jeżeli nawet, co jest mało prawdopodobne, Vischer tę płytę odlał, to przecież nie odlewacz, ale artysta-rzeźbiarz jest twórcą dzieła.

W kościele N. M. P. w Krakowie są przez Stwosza wykonane trzy płyty spiżowe, nagrobki mieszczańskie rodziny Salomonów, a w Wielkopolsce takich płyt kilka, mianowicie: Oleśnickiego i Gruszczyńskiego w Gnieźnie, Piotra z Bnina we Włocławku, Paniewskie-



Krucyfiks w katedrze warszawskiej.

W. Stwosz.



Słońce, śnieg i świerki...

go w Poznaniu, Tomickiego w Tomicach i Szamotulskiego w Szamotułach.

Te są najważniejsze zabytki dzieł Stwosza w Polsce. Do najcenniejszych, które wykonał w Niemczech należą: Wieniec różany, czyli Pozdrowienie anielskie w kościele św. Wawrzyńca w Norymberdze i ołtarz w St. Wolfgang. Wieniec jest pod względem artystycznym dziełem o nadzwyczajnej piękności, a co do formy, jest unikatem, albowiem ma kształt pająka (żyrandola) wiszącego na łańcuchu u sklepienia. Ołtarz w St. Wolfgang jest o wiele od Mariackiego w Krakowie mniejszy, lecz grupa środkowa, przedstawiająca Ukoronowaną N. M. Panne, którą Chrystus-Król błogosławi, jest dziełem jeszcze dojrzalszego talentu mistrza.

Jak wspaniałe było mauzoleum św. Sebalda, możemy mieć wyobrażenie z rysunku Stwosza na pergaminie zrobionego, dotąd zachowanego — i z figury Madonny, która, jak znawcy twierdzą, jest pozostałością z tego zburzonego mauzoleum, Madonny najpiękniejszej z tych, które Stwosz wyrzeźbił.

Bardzo częstym tematem utworów Stwosza są krucyfiksy. Boski dramat na drzewie krzyża pociągał nieodpornie Stwosza, by mu dał jak najgłębszy wyraz w artystycznej formie. Nasz Mariacki krucyfiks jest tego dowodem, a Niemcy wymieniają trzy krucyfiksy, jako arcydzieła Stwosza, w Niemczech się znajdujące.

Prócz kilku ołtarzy-tryptyków w Norymberdze i w pobliskich miastach dotąd dochowanych, jest jeszcze długi szereg, czy to płaskorzeźb, czy figur, które są już to własnoręcznymi dziełami Stwosza, już też jego uczniów i naśladowców. Wystawa w Norymberdze, urządzona na uczczenie 400-ej rocznicy zgonu Stwosza, zgromadziła je prawie wszystkie, w liczbie kilkuset. Widocznie w Niemczech nie niszczone tak skwapliwie i bezmyślnie dzieła sztuki gotyckiej, jak u nas.

Niemcy wysławiają Stwosza we wszystkich swoich czasopismach sztuce poświęconych, jako tego, który był „najbardziej niemieckim artystą”. Bezwątpienia gotyk Stwosza ma wiele wspólnego z gotykiem niemieckim, ale równie wiele, a może więcej, ma cech od niemieckiej sztuki odrębnych. Dawniejsi Niemcy widzieli to dobrze i nie wahali się prawdy wyznać, dzielić się nią i widzieć nie chcą. Jeden z nich, Daun, tak pisze*): „Stwosz jest wprawdzie mistrzem, u którego właściwie niema niemieckich rysów charakteru, lecz raczej cechy przypominające Po'aka lub Francuza: gorącą popędliwość i niespokojną porywczność, mimo to jest on jednak interesującą postacią, nawskroś oryginalną naturą i urodzonym dramaturgiem”.

Kazimierz Piętka.

*) Veit Stoss und seine Schule, Leipzig 1903.



Saneczkami na Montblanc.

W CAŁUNIE ŚNIEGU

*Na szybach mrozu zwiędły kwiat,
W całunie śniegu leży świat:
W niebiosach czuwa boża myśl,
Nad pustką wzniosł się smutnie krzyż...*

*Wiatr świszczce wśród zamartwych pól.
Miedzami kroczy ludzki ból.
Stanął w rozstaju grząskich dróg: —
Na głowie cierń, łańcuch u nóg...*

*Wśród mroźnej ciszy zadrży duch,
Oślepnie wzrok, ogłuchnie słuch.
Przez pustkę świata, groźną dal
Dzwoni żałobą życia żal...*

*Przez pustkę życia dzwoni zew
Śmiertelna pieśń sięga do trzew.
Na szybach mrozu zwiędły kwiat,
W całunie śniegu zamarł świat.*



cki.

Kościółek tyrolski w śniegu.

Z · KSIĘGI · PIELGRZYMA

UPOMNIENIA.

Pewnego razu wczesną wiosną obserwowałem ogrodnika. Chodził z nożem w rękę pomiędzy drzewami i przycinał zbyt wybujałe gałązki, usuwał t. zw. wilcze pędy, wyrównywał korony drzew owocowych, szlachetnych. Natomiast drzew, rosnących w parku, nie ruszał, bo miały właśnie rósć w stanie naturalnym, nieuszlachetnionym ręką i staraniami człowieka.

Mimowoli nasunęło mi się porównanie pracy ogrodnika z zabiegami rodziców. I oni mają w rodzinie swą działkę, swój „ogród“ i swoje drzewka młode, które będą szczeniem owoców szlachetne. Dziećki w ogrodzie owocowym i dziećki w rodzinie — nigdy, nikt sobie nie życzy. W rodzinie szanującej się, kulturalnej, religijnej — w Rodzinie Polskiej.

I u nas naogół niema dziećki. Wszystkie dusze polskie są zaszczenie przez wiarę. Jako szczepki boże posadzone są w ogrodach rodzin naszych, w ogromnym ogrodzie Ojczyzny. Tu rosną, tu mają dać kwiat i owoc bujny. Nie wydadzą go jednak, jeżeli nie przyjdzie im z pomocą ręką i nóż ogrodnika.

Nożem ogrodniczym, przycinającym wilcze pędy na szlachetnych szczepach ludzkich, są — upomnienia. Upomnienia rodziców, przełożonych, zwierzchników, wychowawców. Nawet kolegów, znajomych, przyjaciół. Niekiedy nawet nieznajomych...

I trzeba przyznać, że „nóż upomnień“ nie próżnie darmo. Wszędzie, na całym świecie, we wszystkich krajach i narodach. Trudno Polskę wysuwać pod tym względem na czoło ludów, ale nasz charakter drażliwy, krewki i niecierpliwy z natury skłania Polaków i Polki do mnożenia upomnień. Upominają ludzie na każdym kroku, według wyrażenia Apostoła Narodów, „i wezas i nie wezas“. Nie mówiąc już o walkach stronnictw politycznych, które nicują wrogów, nożem krytyki i upomnień posługuje się dziś każdy w odniesieniu do bliźniego swego. Kto powinien upominać? Starszy, mędrsi, lepszy. W dawnych wiekach mądrych było mało, dziś „mędrców“ pełen świat, bo każdy „umie czytać i pisać“. Stąd każdy czuje się powołany do karcenia, upominania reszty świata.

I tak się stało, że dużo ogrodników z nożem krytyki i upomnień snuje się po ogrodzie naszej Ojczyzny, wkracza do rodzin naszych. Z tym nożem upomnień i my zapewne zbliżamy się do swego otoczenia. I my upominamy. Jako starsi, jako mędrsi, jako lepsi — ku dobremu, ku lepszemu... pełni najlepszych chęci, zbrojni w ewangeliczną „dobrą wolę“...

A'e trafiamy na sprzeciw. Wilcze pędy nie poddają się pod cięcie noża. Drzewka dusz uchylają się spod naszej ręki, gdy je chcemy urobić według naszych zamiarów. Upomnienia nasze trafiają — w próżnię, a świat młodych, współczesnych dusz i serc, nietknięty niemi, buja konarami, gmatwa swoje losy, marnuje kwiaty szczęścia i owoce...

Jak więc upominać, by pożądaný cel upomnień został osiągnięty?

Należy zapewnić upomnieniom jedną cechę zasadniczą, której brak najczęściej sprawia, że z lekarstwa dusz stają się trucizna. Znamy przecież wypadki, że pod wpływem niewłaściwego upomnienia gorczy i rozpacz i szal popycha serca, prowadzi dusze na ścieżki zatracenia. Takie upomnienie, zamiast ku dobru — odpychające od dobra, jest zaiste narzędziem zła, wodą na młyn czarta.

Jakaż to cecha wytrąci z upomnień czynnik szatański, a wprowadzi w nie upragniony „nerw anielski“? Czy łagodność, delikatność, miękkość upomnień? Zapewne, czynniki te nie są do pogardzenia, byle były stosowane w rozumnej mierze. Łagodzą ostrze ogrodniczego noża. Ale jeśli są zbyt łagodne, zbyt miękkie upomnienia, — mijają się z celem, jak tępy nóż w rękę ogrodnika. Jak nóż musi być nożem i powinien ciąć dobrze, tak upomnienie musi być upomnieniem i obcinać, usuwać zło z dusz i serc niedoświadczonych, wybujałych, młodych.

Powinno jednak zawsze dawać młodej duszy to, co daje drzewku nóż ogrodnika. Pobudkę do lepszego wzrostu. Pewien nastrój podniesienia ducha. Zachętę. Otuchę.

Tego najczęściej brak potocznym, codziennym upomnieniom naszym. Zapominamy, że każdy człowiek, zwłaszcza młody, może zbłądzić. I błądzi, bo w danym wypadku nie wie, jak zrobić lepiej. My starsi, mędrsi, wykrywamy błąd... To źle zrobione, to nie powinno tak być!... To głupota pierwszego rzędu! Idiotyzm! To przewrotność — słyszy delikwent najczęstsze gromy nad głową... I co grzmot, to siarczysty piorun niesie z sobą... Błada niedoświadczonej, delikatniejszej głowie, zwłaszcza delikatniejszemu sercu. Natury wrażliwsze pod takimi gromami ulegają dosłownie złamaniu na całe życie.

A tylko dlatego, że powyższe gromy są całkiem negatywne. Wykrywają zło, a nie wskazują środków zaradczych, jak z tego zła się wywikłać. Upominający w ten sposób postępują tak, jakby czynił lekarz wezwany do śmiertelnie chorego i zamiast lekarstwa podający mu całą porcję wymysłów: „Jak można było być tak nieostrożnym?! Jak pan mógł podobnie się narażać?! Toż to choroba nieuleczalna, toż to śmierć prawie pewna“!...

Chorym ciałom, chorym duszom i schorzałym sercom potrzeba ustalenia diagnozy, — że są chore i na co cherują. Ale to dopiero początek. Potrzeba im następnie wskazania środków zaradczych, jak chorobę zapobiec, jak rany zagoić, jak usunąć zło... Wówczas bierze chorego w swe tryby pozytywna, silna, zwycięska moc, której on się z chęcią, choćby nawet i syczał od bólu, poddaje... Bo mu wskazano cel „lepszy“... Zdrowie!

Oto upomnienie! Znalazła się zachęta! Przemówiła i horyzonty lepszych dni wskazała otucha!

Tak upominajmy.



MAŁŻEŃSTWO NA CENZUROWANEM

Któż to miał niezręczność powiedzieć, że zawarcie małżeństwa stanowi happy end? — Kiedy rzuciłem to retoryczne pytanie w czasie pewnej dyskusji, sala przyleżała je wybuchem aprobacyjnego śmiechu.

A jednak wcale niedawne to czasy, gdy szanujący się powieściopisarz łączył węzłem Hymenu swych bohaterów i stawiał zaraz kropkę zadowolenia... Numa wychodziła za Pompiljusza, a skryba dodawał conajwyżej, że był na weselu, miód i wino pił, czasami wspominał jeszcze o chrzcinach. Później dopiero przyszły analizy powikłań życia małżeńskiego, branego jednak od strony niecodziennej, w tragicznej perspektywie przeważnie zdrady małżeńskiej. Tak ujął nawet swą „Rodzinę Połanieckich” Sienkiewicz, zapatrzony w Bourgetowskie „Le divorce”, tak ostatecznie pojmuje małżeństwo Maria Dąbrowska w „Nocach i dniach”, gdy zwłaszcza pod koniec swego „eposu” kładzie przesadnie nacisk na sprawy owych „nocy”. W każdym bądź razie w zamierzeniu Dąbrowskiej jest chwalebna chęć napisania raptularza małżeńskiej codzienności. Rozminięcie się z tym zamiarem wynikło z błędnej dyspozycji psychologicznej partnerów tej małżeńskiej rozgrywki. Barbara wlecze przez całe swe małżeństwo dysgust do męża. Mogłaby służyć za klasyczny przykład kobiety, dla której małżeństwo nie jest happy end'em. Jej małżeństwo jest w rodzaju tych nieporozumień i życiowych desperacji, które wypełniają modnemi spazmami współczesną literaturę.

Barbara należy do kategorii kobiet, które już to z rozpaczy już to z wyrachowania sprzedają się do małżeństwa.

Znalazł się także autor, Stet Passeur, który pokazał nam „kobietę, która kupiła męża”. Wynikły stąd splot konfliktów rozstrzyga ona z rewolwerem w ręku, zdobywając sobie oczywiście poklask różnych zwarjowanych emancypantek, ów „strzelecki” argument uważających z właściwą kobietom logiką za odpowiednik szekspirowskiego bata dla „poskromienia złoŃnicy”.

Takimi paserskimi chwytami niewątpliwie nie osiągnie się małżeńskiego „szczęśliwego końca”.

Nie odkrywa tajemnicy jego ani balzakowska „Fizjologia małżeństwa” ani maupassantowskie „Życie”, które podchodzą do tego zagadnienia z dość partykularnych stanowisk. Tak samo nie daje wystarczającego obrazu zolowska „Płodność”, mimo jej apologetycznych akcentów. Inne analizy w rougon-maquartowskim sosie zatopione są już raczej karykaturą i satyrą na małżeństwo i rodzinę, niż jego aprobata.

Inne próby nowocześniejsze „rozgrzeszania” z małżeńskiej niewierności, podjętego przez Morstina, czy rozgrzewania „Serca lodów” przez Goetla, który przeciwnie niż u Dąbrowskiej, każe właśnie mężczyźnie wlec za sobą po małżeńskim bruku kulę „niespełnionej miłości” — wszystko to także nie daje nam odpowiedzi na ważne zagadnienie.

Podskórnie bije pod tem wszystkim przeświadczenie, że małżeństwo i rodzina jest obcięciem romantycznych perspektyw życia, jest kresem heroizmu, który jakoby stanowi przywilej samotnej jednostki. Małżeństwo, to symbol sfilistrzenia. To też w naszych powieściach społecznikowskich zwykle jakiś Judym odchodzi od swej Joasi, bojąc się, że w związku z nią może osiąść na mieliźnie duchowej, zwykle ucieka jakaś

„przepióreczka” w pole... frazesów, składających się na gloryfikację „ludzi bezdomnych”.

Małżeństwo jako heroizm we dwoje jest to pojęcie zupełnie nieznanne, niezrozumiałe, jeśli nie wyklęte. Owszem, rodzina, uznana milcząca zgodą ślepej tradycji za happy end, a e właśnie dlatego jest niebezpieczna, gdyż daje szczęście „prywatne”. Ze szczęście „publiczne” może być sumą takich zadowoleń prywatnych — to jakoś nikomu w głowie nie powstaje.

Coprawda stanowi to prosty wynik czysto egoistycznego podejścia do zagadnienia małżeństwa. Jednostka ludzka szuka w niem nasycenia namętności czy wyrażenia estetyzującego pozerstwa i na tem koniec. Głębsze konsekwencje małżeństwa — a zwłaszcza dzieci — to „zawalidrogi”, jak to przedstawia Herminja Naglerowa, na drodze rozbujanego egoizmu erotycznego.

Owszem, znajdziemy też pewne przejawy tego głodu małżeństwa i rodziny np. w „Domu Kobiet”, a raczej zbiorowiska istnych lalek seksualnych, których tęsknoty „ewie” za Adamem zbyt płytką i ubogą, bo tylko erotyczną mają melodię.

Głębszą, choć także skrzywioną perspektywę daje „Dzień jego powrotu”, którego bohaterka poczuwa się do pewnej solidarności duchowej i moralnej ze swym mężem-zbrodniarzem. Ale i tu nad poczuciem obowiązku dominuje irracjonalny Eros.

Małżeństwo jest więc pojmowane bynajmniej nie jako heroizm we dwoje, ale jako egoizm we dwoje. Stąd klasyfikacje i analizy literackie bardzo wymyślne w swych stylizacjach, ale i czcze różnych „niedobrych miłości”.

I tak dokoła Wojtek.

Różnice charakterów i „napieć psychicznych” dotyczą przeważnie seksualnej strony małżeństwa, jak to mamy u Lacretella, w jego „Małżeńskiej miłości”, czy u André Maurois w jego „Kręgu rodzinnym”.

Inny ton, inny oddech, choć nie mniej zgorączkowany i zatruty wnosi François Mauriac w swem „Kłębowisku żmij”, przez które rozumie rodzinę. Niezbyt to zaszczytna dla niej kwalifikacja, w każdym bądź razie autor daje wnikliwą analizę całego szeregu zagadnień, które wynikają z współżycia tej miniaturowej społeczności, jaką stanowi rodzina. Zbyt silne podmalowanie kontrastów, wysunięcie na czoło postaci raczej patologicznej sprawia, że tej znakomitej zresztą powieści nie można uważać za prawidłowy przekrój typowej rodziny i problematyki jej istnienia i trwałości.

W szeregu takich powieści jak „Serce na ulicy” Kiedrzyńskiego czy tegoż „Szczęście od jutra”, gdzie autor doskonale przedstawił konflikt egoizmu erotycznego z uczuciami macierzyńskimi, czy Perzyńskiego „Żona nieżona” mamy też wiele ciekawych przyczynków, wszystko to jednak nie stawia sprawy na właściwej płaszczyźnie. nierozstrzygnięciem pozostaje wciąż pytanie: egoizm czy heroizm?

A jeśli egoizm, to poco wogóle małżeństwo?

I rzeczywiście odpowiedź literatury brzmi coraz częściej negatywnie. Pisarze nie umieją dać obrazu pełnego życia małżeńskiego i rodziny. Jeśli zaś rzuca obraz takiego związku, w którym partnerzy czują się dobrani, to jest to związek nielegalny, lub też sprzegają przeciw niemu wszystkie moce, by go rozerwać. Tak Dreisser w swej „Jennie Gerhardt” przedstawia nam (Dokończenie na str. 76).

U TŁUMACZA „MARJI STUART”

Rozmowa druga ze Stanisławem Miłaszewskim.

Jesteśmy znów razem, podobnie jak wówczas, gdy po raz pierwszy z nim rozmawiałem.

(Właśnie w tej chwili zdałem sobie sprawę, że to drugi, dzięki niemu, mój dzień; jeden z niewielu, mających swe własne imię i swój własny wyraz. Pomyślałem sobie, że ten dzień dopiero teraz, o zmroku, przestaje być podobny do wczorajszego dnia. Pomyślałem sobie i nie zdobyłem się na żadne słowa, choć tyle błahych przyniosłem tu ze sobą).

— Myśląc o panu...

(Sam nie wiem, co zrobiłbym w tej chwili, gdy mi powiadała to: „myśląc o panu”).

—...przygotowałem pewną rzecz. Będąc w roku 1911 w Paryżu, przeżywałem bardzo smutny okres mojego życia. Wie pan, działy się we mnie te rzeczy, które przychodziły jakby z drugiej strony, a w których się przeczuwało, że człowiek nie tworzy swojego jutra, lecz swoje dalekie pojutrze.

I podaje mi kartkę papieru wraz z niewielką książką. „Święty Augustyn” — powiadam do siebie.

— Wypisałem tu słowa, które chciałbym panu powiedzieć.

Czytam słowa, które mi „chciałby powiedzieć” ten człowiek, którego przeznaczeniem chyba jest, by przemawiał, by wpływał i sugerował. Czytam jego dziwne, rzadko spotykane, ale czytelne pismo: „Zmiłuj się nade mną Boże! Ty, który jesteś światłem ociemniałych i mocą słabych, aby rychło stać się światłem widzących i mocą silnych”.

Przeczytałem. Położyłem kartkę na stole — Miłaszewski milczy. Wydaje mi się, że mi w tej chwili powiada: — „Ja wiem, dobrze wiem, że ty jeszcze raz, i jeszcze raz i jeszcze wiele, wiele razy do tych słów powrócisz, przeczytasz i za każdym razem nową treść w nich znajdziesz”. — Miłaszewski milczy a ja w milczeniu któryś raz skolei odczytuję słowa św. Augustyna. A gdy oczy ku Miłaszewskiemu kieruję, znów wydaje mi się, że za chwilę posłyszę: — A więc już teraz rozumiesz, dlaczego człowiek tworzy nie jutro, ale swoje bardzo dalekie pojutrze, co?!

— A dziś — mówię jakimś innym głosem, którego poznać nie mogę i zupełnie bezradnie znów powtarzam to swoje: „A dziś”?

— Stoję na głęboko katolickim stanowisku — mówię zupełnie matowym, ani na chwilę nie dającym wyczuć jakichkolwiek wahań, głosem. — Patrzę na ludzi, którzy tego nie znają, jak na tych, którzy prowadzą niehigijenny tryb życia. To poprostu brak higieny duchowej!...

Skurczyłem się w tym momencie — wiem o tem — bo mi się wydało, że tu zaraz coś zapadnie się, coś się rozderze we mnie. Gdy zaczynam mówić, przygląda mi się uważnie i wtedy zdaję sobie sprawę z tego, że mój głos wcale nie jest moim codziennym głosem.

— Tomasz z Akwinu — sam nie wiem czemu, cytuję — powiedział: „Ten tylko nie błądzi, kto nic nie robi i nic nie myśli”.

I po chwili dopiero rozumiem, że wprawdzie nic mi o sobie nie powiedziałem, to jednak temi słowy uczułem potrzebę usprawiedliwienia się. Choć mu przecież nic o sobie nie powiedziałem, to jednak wiedziałem że się muszę usprawiedliwić. Jakież to dziwne, gdy się nie zna Miłaszewskiego, gdy się z nim nie rozmawiało, gdy nie zaglądał w serce nasze swoim wszytkorozumiejącym spojrzaniem. I gdyby tego dnia nic więcej się nie stało, poza moim uczuciem potrzeby usprawiedliwienia się, to jedno wystarczyłoby, by ten dzień miał swe własne imię i swój odrębny wyraz. Heż dni nazwał Miłaszewski w ży-

ciu wielu, wielu ludzi, którym zajrzał do serc tak, jak to się stało ze mną owej chwili?!

Miłaszewski krótkim zwrotem jednym wycelowanym momentem potrafi szarpać, porwać poprostu obnażyć — tak, właśnie obnażyć i w prawdzie ukazać ten brak higieny duchowej. Ale też potrafi usprawiedliwić. Właśnie dlatego teraz przemawia do mnie w ten sposób:

— Sprawiedliwy grzeszy siedemdziesiąt siedem razy dziennie. Ale gdy jest w tem dobra wola dźwignania się z błędu, to najważniejsze. Błąd jednak żyje, trwa, proszę pana... Granicy błędu trudno ustalić. Przecież — rzuca szybko słowa i ilustruje je odpowiednim gestem ręki — przecież samo miano „człowiek” jest błędem! Tak!... Mówił pan o św. Tomasz z Akwinu. Otóż miał on u schyłku swojego życia jakby wizję Chrystusa. Rzekł mu Jezus: „Tak wiele napisałeś o Mnie. Więc ci odślonię Swoje życie”. I na chwilę, jakby odślonił mu taką... kotarę. I od tego czasu św. Tomasz już nic nie napisał. Rozumie pan?

Wpatruje się we mnie, a ja znowu rozumiem, że mi za chwilę jeszcze bardziej obrazowe objaśnienie ciśnie przed oczy i zmusi zapamiętać.

— Ot chociażby taki przykład: jeżeli zwyczajną wagę aptekarską kładziemy pod kloz, to w tym celu, by dokonać ścisłego wyliczenia, ścisłego badania, prawda? Tak samo robimy obliczenie, rachunek sumienia. Nasz rachunek sumienia jest buchalterją. Coprawda my umiemy usprawiedliwiać każdą przegraną, widniejącą w pozycji strat, ale jednak w swej istocie życie religijne jest kulturą ścisłości i bezstronności w obrachunkach z samym sobą. W tem jest wykluczenie męfistofelizmu, który może każdą teorię sofistyczną wytłumaczyć w jedną i drugą stronę.

— Są jednak różne sposoby czynionych obrachunków, a ja myślę, że jest jeden taki, co ścisłość całkowitą zagwarantować musi — powiadam.

— A właśnie... Przekonałem się o jednym. Znowu z własnego doświadczenia opowiadam panu: ludzie mówią odrębnymi językami i dlatego słusznie pan się obawia, że metody obrachunków, o których mówimy, mogą być wadliwe, właśnie!... Gdy się nie ustali tej wspólnej miarki, tego wspólnego czynnika, to rozmowa między ludźmi staje się grą paradoksów o miłości własnej. Staje się tenisem paradoksów o miłości własnej, tem bardziej subtelnych, im pod większemi obstonkami wypowiedzianych.

I tu znowu zdarzył się dziwny fakt — zwierzać się zacząłem, choć nigdy dotąd wobec nikogo nie zwierzałem się.

— Czynię to tem chętniej wobec pana teraz, że już bodaj od dziesięciu lat nie spowiadałem się wcale.

Miłaszewski, człowiek pełen wiary i kultu dla nakazów Kościoła katolickiego, nie zdziwił się temu wcale — naprawdę nie zdziwił się.

W tym momencie znów przekonałem się, iż jest właśnie takim: — wyrozumiałym, bezgranicznie dla ludzi wyrozumiałym. I to, właśnie to, właśnie owa bezgraniczna, niezwykła, pokorna wyrozumiałość — to zachwyca mnie i porywa w Miłaszewskim — katoliku.

Długo opowiadałem mu o sobie. Mówię o nocach nieprzespanych w obawie przed śmiercią, której obecność wyczuwam przy sobie każdej chwili.

— Niech pan się nie boi tego uczucia — powiada mi po dłuższej chwili ciszy — nie trzeba się tego bać... To tylko ktoś patrzy na pana. Niedawno miałem dziwny sen. Wydawało mi się, że leżę na swojej pościeli, a raczej jestem razem z nią na przełęczymy między dwiema górami. Jestem zdziwiony tem i zakłopotany, sam nie wiem, co mam ze sobą począć. I w owej chwili uczułem, że mi się ktoś przygląda i napawa widokiem mojego zakłopotania.

A po chwili dodaje, głosem silniejszym, jakby rozstawiając każde słowo — Jesteśmy do rzeki podobni... do rzeki, która wyłoniła się spod ziemi i pójdzie pod ziemię. Przepływ jest ciągły...

— Ale chwila, w której przepływamy zawiera w sobie jakiś niedopowiedziany tragizm, częśćkę jakby kłębki, którą przeżywamy w naszych sercach.

Gdy mu te słowa mówię, przygląda mi się bawczo. Uśmiecha się do mnie wreszcie, ujmuję moją rękę a ja wstaję, jakbym przeczuwał, że mnie gdzieś poprowadzi. Stoję tuż przy nim.

— Tragedja człowieka tkwi w tem, że wszyscy jesteśmy na wielkim dziedzińcu, z którego jest jedna brama, jako wyjście. Ludzie jednak chcą wyjść którądykolwiek, byleby właśnie nie przez bramę. Przez bramę życia duchowego, oczywiście. Otóż właśnie — (głos coraz silniejszy, uścisk ręki wzrasta, wydaje mi się, że widzę jego tężejący kark) — otóż właśnie! negacja oczywistości życia duchowego jest tragedją człowieczeństwa! Chcemy szukać jakiegoś wyjścia, jakiejś mysiej dziury, nie dostrzegając wielkiej bramy, przez którą wyjść wszyscy powinniśmy z dziedzińca życia!

...Później, znacznie później po tym, jakby spokojnym, pożądanym wybuchu, rozmowa nawiązuje się ponownie. Znow mówię o potrzebie religji w życiu człowieka, lecz moje słowa ten mają skutek, iż mi powiada w pewnej chwili słowami świętego Pawła: „Czuję w sobie dwa zakony”... I już znacznie później dodaje: — Czy masz siłę Herkulesa, czy cherlaka, ty musisz gdzieś skłonić głowę. I tem miejscem, tem gniazdem, gdzie się skłania głowę jest... —

Miłaszewski nie kończy — tylko ruch ręką, tylko wielki i wspaniały ruch ręką powiada, że ani on ani nikt inny nie ośmielił się w chwili, gdy się o tem tak mówi, nazwać to miejsce, to gniazdo... Ale ja wiem, ja dobrze wiem i każdy wiedziałby, gdyby owej chwili mógł słyszeć i widzieć Miłaszewskiego. Wtedy nie padło, niestety, drugie miano katolicyzmu, ale widziałem go w jego oczach, powiedział mi o tem swym wspaniałym ruchem ręki — drugie miano katolicyzmu...

— Otóż — ciągnie po chwili — kto sobie raz ten moment uznał i powiedział prawdę, kto chce mieć to gniazdko, w którym sobie będzie mógł o tem powiedzieć, kto będzie miał tę świadomość, ten niewątpliwie uczyni ów, tak potrzebny w życiu krok ku prawdzie. Wtedy mamy możność, rozumie pan?, mamy możność osiągnięcia tego salda ciszy — i to jest przywilejem życia ludzkiego. Nie cisza, ale ta możność...

— A jaką w tem rolę odegra miłość własna?

— Ona nas podnieca. Bez tego byśmy nie starali... Nie zanadto rozrosła, jest pewnym motorem, popychającym człowieka do wzrostu. W klimacie naszej doczesności jest autochtonem, który ma skłonność do zupełnego rozpanoszenia się i ograniczenia natury ludzkiej.

— A więc trzeba przedtem młodzież w pierwszym rzędzie uzdrowić — powiadam i natychmiast dodaje pytanie o drogi, któremi winno podążać wychowanie młodzieży. W odpowiedzi znow otrzymuję całego Miłaszewskiego — tego człowieka, który ani na chwilę nie przestaje być ludzkim i którego dewizą życiową jest: rozumny, dyskretny umiar:

— Cóż, ja nie jestem w tem stadjum rozwoju duchowego, bym mógł sam stworzyć jakiś system i przeciwstawić go istniejącemu już jakiemuś systemowi. Wiem, czego czynić nie należy, ale nie wiem, co trzeba czynić. To jest celem mojego życia — dodaje, popadając w krótkotrwałe zamyślenie.

— To właśnie jest bardzo ważne — powiadam — bo wiem bardzo niewiele wie, czego czynić nie należy.

— Któryś z moich przyjaciół w jakimś zebraniu o czemś rozmawiając, spotkał się z prośbą, by przedłożył



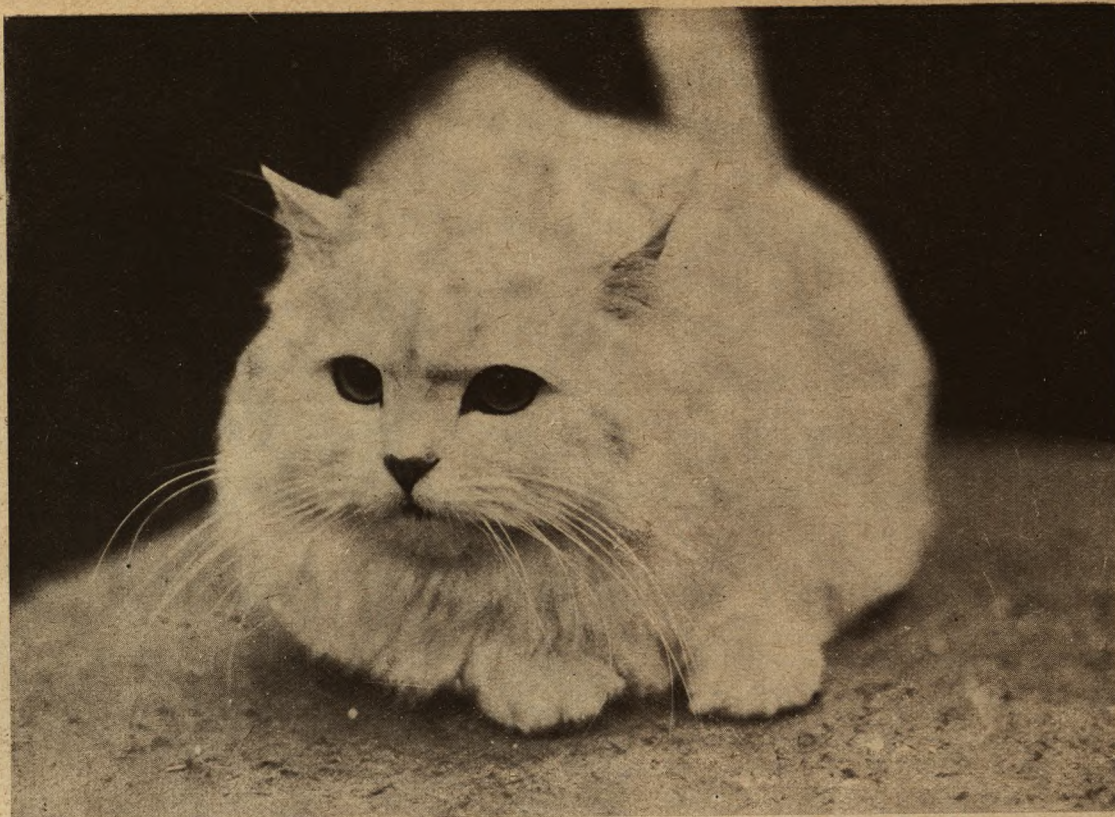
Stanisław i Wanda Miłaszewscy.

plan konkretny. I wie pan co on uczynił? Odpowiedział im przykazaniem: „nie kradnij, nie zabijaj”... i tak dalej... Więc dziesięcioro przykazań Bożych, tak, w pierwszym rzędzie dziesięcioro przykazań Bożych — i już zupełnie cicho, szepem prawie: — kochaj swych nieprzyjaciół...

— Tak... — mówię również cichym głosem — bo to trudne jest, ale jakże bardzo konieczne w życiu ludzi i we współżyciu narodów ze sobą...

...Gdy z nim po chwili zaczynamy o rodzinie mówić, wpadam z zapytaniem: — A jakie jest zdanie pana o instytucji małżeństwa?

— Instytucja małżeńska jest formą ascezy. Jest, wie pan, rodzaj ascezy A i rodzaj B. To jest asceza B. Wiek osiemnasty, który zniósł małżeństwo w obyczaju, choć zachował w formie, doszedł do bardzo słusznego wniosku, że w miłości, mam na myśli miłość zmysłową, najprzymniejniejsze są początki. A ktoś dowcipny dodał: „i dlatego tak często zaczynamy”. Otóż małżeństwo ma tę ciągłość, jest zaprzeczeniem donżuanerji, jest posiewem, kłosowaniem, młocką, jest wreszcie chlebem, który nam nie smakuje — uśmiecha się przemile Miłaszewski — ale którego brak rozumiemy dopiero. Ma ten przeświecony spokój. Przyjaźń między kobietą a mężczyzną jest jedynie możliwą w małżeństwie. Proszę jej nigdzie indziej nie poszukiwać. Ona jest celem małżeństwa, jest jego korona.



Kot nagrodzony na wystawie w Londynie.

— A co powinno przyjść wprzód: małżeństwo czy przyjaźń?

— Sama przyjaźń w pewnych klimatach może jak owoc dojrzeć, ale nim się ona wysublimuje, to i życie zbiega... przyjaźnie.

— A więc dlaczego asceza...

— Nie asceza, ale życie człowieka chrześcijańsko monogamiczne — z naciskiem powiada Miłaszewski. — Wie pan... człowiek, który żyjąc w monogamji, lubowałby się w pornografji, robiłby na mnie wrażenie człowieka, który lubując się w alkoholu, chce być trzeźwym.

Myślę ponownie o całej sieci subtelności duszy ludzkiej i wszystkiego, wszystkiego co ludzkie, które tak dobrze znane jest Miłaszewskiemu. Czemu znów o tem pomyślałem? Czy ja wiem... To takie łatwe do zrozumienia dla tych, którzy choćby raz jeden w swoim życiu z Miłaszewskim mieli możność rozmawiania.

— W mojem pojęciu, gdy ustanie zdolność aktywnej donzuanerji, to jej dalszym ciągiem jest lubowanie się w kuplerstwie, w strzęczycielstwie. Człowiek wtedy zastępuje mózgiem czynności płci. Zostaje to religją, o, właśnie! — religją naszego ciała!...

Po chwili utkwiał swój rozmarzony wzrok w dali — właśnie: w dali... I czuję, że jest teraz gdzieś bardzo daleko. W takiej chwili chcę go zapytać, o czem on marzy — w takiej chwili jest się bardzo ciekawym, o czem potrafi marzyć taki człowiek jak Miłaszewski...

...głos jego płynnie powoli...

—...przyszedł do Chrystusa ów młodzieniec, który Go zapytał: „Nauczycielu, co mam czynić, bym mógł osiągnąć życie wieczne”? Chrystus odparł: „Spełniaj przykazania boskie”. „To czynię”. „A jeżeli chcesz więcej, to rozdaj wszystko i chodź za mną”. Otóż to byłoby moim ideałem... ale to takie dalekie... muszę poprzestać na tem, by negatywnych przykazań boskich przestrzegać...

W trakcie rozmowy czyniłem luźne notatki. W owej chwili zaprzestałem czynić notatki — w owej chwili, pamiętam to, wydało mi się, że jestem wśród łąk, wśród mórz, wśród wiatrów cichych i wśród słońca — że jestem wśród tego wszystkiego, co jest chwałą Boga i Jego dziełem. Pamiętam to...

—... A jeżeli chcesz więcej, to rozdaj wszystko i chodź za mną”...

Milczymy o dniu, w którym ktoś z nas dwojga winien był powtórzyć drugiemu słowa Człowieka z Nazaretu. Za oknem przemija wieczór...

Stanisław Brochwicz.

Dokończenie „Małżeństwo na cenzurowanem“.

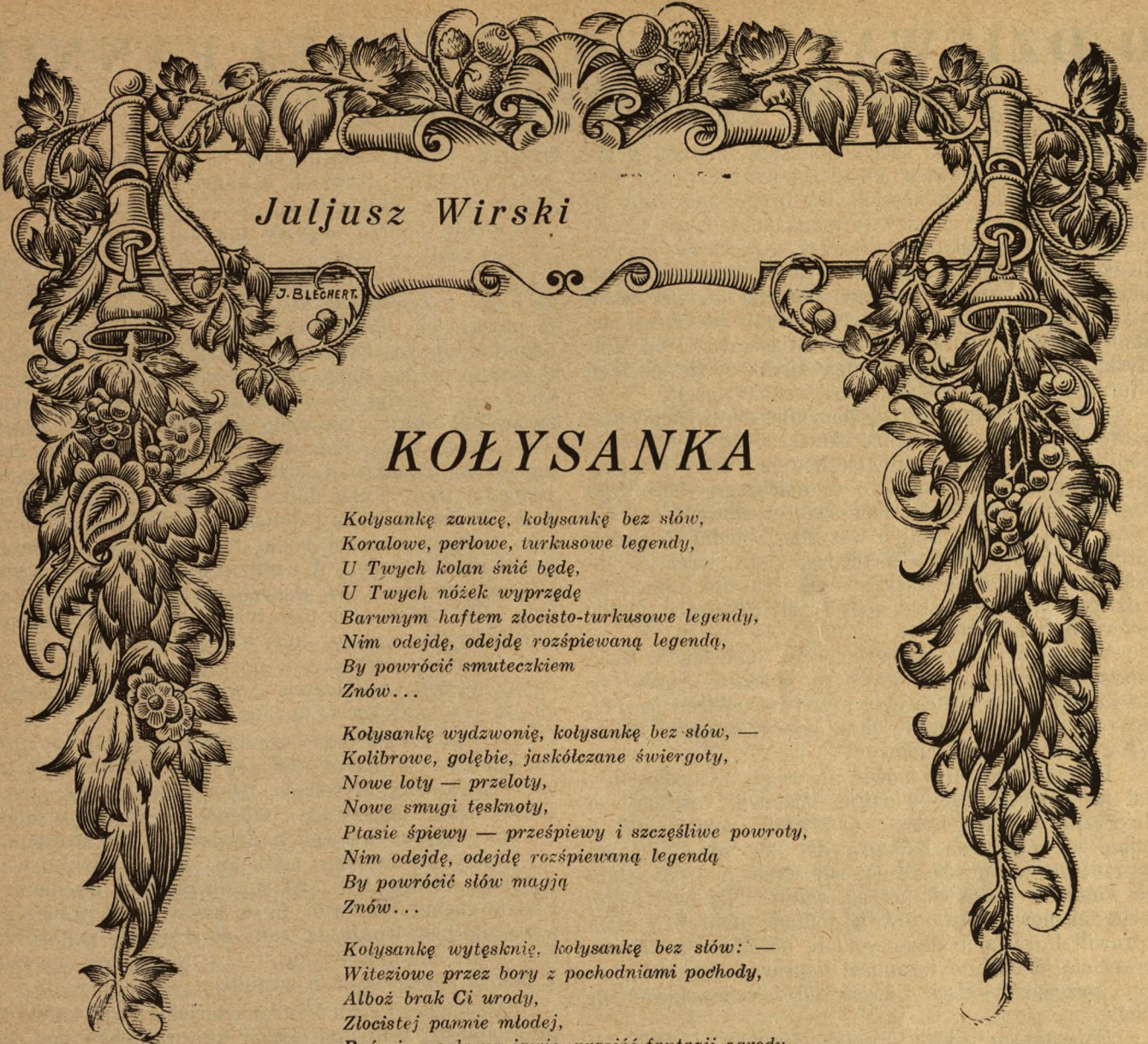
tragedję kobiety, stworzonej do małżeństwa, która jakoś nie może dobrać do legalnego związku i osiągnąć jego naturalnego celu, dziecka.

Instykt macierzyński też naogół wymyka się z pod obserwacji pisarskiej, jakto wiek znajdujemy tu szereg prób jego zanalizowania, żeby tu wspomnieć o Sardou „Odette“, o Bojera „Dyrendal“ czy Sigridy Undset „Pan Hjelde“.

„Szczęście z przyczyny dzieci jest tak naturalne, że się go nie czuje. Te przeliczne radości — pierwszy śmieszny krok, cudaczne powiedzenie — które je rachuje? A pocałunki niedołączonych warg? A ludzki rozum w miękkiej jeszcze czaszce?... Nikt nie uważa tych znikomych blasków za szczęście! One jednak karmią nasze głody... Jakakolwiek — powiada p. Hjelde — będzie moja przyszłość, dopóki mam dzieci, z radością przyjmę każdy dzień“.

Oczywiście ta radość ma także swe ciernie. Znalazł się pisarz, który za jednym zamachem uwalnia kobietę zarówno od cierni, jak i kwiatów macierzyństwa. Aldous Huxley w swej powieści „Nowy wspaniały świat“ wynalazł sposób produkowania ludzi w... butelkach. Taka jest pieśń przyszłości. Huxley oczywiście rozdziela sprawę płodzenia od rozkoszy. Stwarza więc termin „igraszek erotycznych“ (alboż dziś już n'e jest tak) „obojętnych moralnie“. Kto nie potrafi z nich korzystać, ten jest nienormalny.

Egoizm triumfuje. Czy jednak to nas zadawalnia?



Juljusz Wirski

J. BLECHERT.

KOŁYSANKA

*Kołysankę zanucę, kołysankę bez słów,
Koralowe, perłowe, turkusowe legendy,
U Twych kolan snić będę,
U Twych nóżek wyprzędę
Barwnym haftem złocisto-turkusowe legendy,
Nim odejdę, odejdę rozśpiewaną legendą,
By powrócić smuteczkiem
Znów...*

*Kołysankę wydzwonię, kołysankę bez słów, —
Kolibrowe, gołębie, jaskółczane świergoty,
Nowe loty — przeloty,
Nowe smugi tęsknoty,
Ptasie śpiewy — prześpiewy i szczęśliwe powroty,
Nim odejdę, odejdę rozśpiewaną legendą
By powrócić słów magią
Znów...*

*Kołysankę wytęsknię, kołysankę bez słów: —
Witeziowe przez bory z pochodniami pochody,
Alboż brak Ci urody,
Złocistej panmie młodej,
Byś nie mogła na jawie, przejść fantazji ogrodu,
Byś nie mogła w świergocie,
W rajskich ptaków przelocie
Być radosna, szczęśliwa
Znów?...*



O DZIEWANNIE I O CHYTREJ PANNIE

LEGENDA PODLASKA

Sliczne bywały na święty Stanisław odpusty w kościółku pod Żelechowem, kiedy żył jeszcze prałat nieboszczyk. Ludzi na kościółkową drogę zjeżdżało się takie mnóstwo, że między furmankami ledwie się do kościółka przecisnęła. A kramarzy, a piekarzy, a rzeźników... Było tego, to było, że chyba nawet takie urzędniki z magistratu, co każdemu potrafią podatek nałożyć, nie umieliby tego policzyć. Jechali od Okrzei, jechali od Zwoli, od Stoczka i od Miastkowa, i od Wilczysk, a co przywieźli, to ludzie zjedli. Tyle się tego i furmankami nazjeżdżało, i napiechotę naszło.

A to wszystko, żeby się pomodlić do świętego Stanisława, bo niedouwierzenia skuteczne bywały zawsze modlitwy w kościółku pod Żelechowem. O co kto prosił, to ten święty biskup, co to martwego Piotrowina z grobu podniósł cudownym swoim słowem, odrazu dawał. A ludzie prosili o wszystko. Jedni to chcieli zdrowia, drudzy znowu pieniędzy, tamci, żeby ich ludzie nie obmawiali, a jeszcze tamci, żeby mieli pociechę z dzieci; i nikt nie słyszał, żeby święty Stanisław prośby nie wysłuchał.

Wiadomo to, możny jest święty Stanisław w żelechowskim obrazie. Za dawnych polskich czasów — ale za tych polskich, co były przed rosyjskimi jeszcze, nie za naszych — święty obraz cudem uchodził aż do Wilczysk. Taki był cudowny!

Przykro jest o tem mówić, ale święty Stanisław musiał tak zrobić. Ano widzicie, postawili kościółek za Księżyzną w Żelechowie — to prawda, pobudowali go ładnie — to prawda i to prawda, że obsadzili sokorami; ale jak te sokory wyrosły wyżej nad kościółkowe wieże, to kościółek już się walił. Nie było kogo, żeby dał nowe podwaliny, a gontami pokrył, a okna wprawił. Parafianie długo gadali, naradzali zawzięcie, nawet się kłócili, no i zamiast naprawić kościółek, kazali przywieźć obraz święty do żelechowskiego kościoła.

Pojechał po niego bryczką parobek proboszcza. Pracowity to on był, ale co do wódki, to nie od tego, owszem, pić lubił. I jak jechał do kościółka, też wstąpił do Aruna, a potem w kościółku wlaź bez nabożeństwa na ołtarz zabłocnemi nogami, nawet butów nie zrucił, obraz wyniósł jak deskę, ustawił w siedzeniu i tak bez czi cudownemu obrazowi należnej przyczłapał noga za nogą do kościoła w Żelechowie. Nie chcieli ludzie dać pieniędzy na odnowienie kościółka, tak ze skąpstwa, jak to na Podlasiu, nie daliby też na nowy ołtarz dla świętego Stanisława, więc proboszcz kazał obraz zawiesić w kruchcie przed zakrystją. Zrobił to parobek przy pomocy kościelnego.

Rano idzie kościelny sygnować na Mszę, a tu z obrazu tylko sznurek na haku został. Pędzi do proboszcza, proboszcz przyszedł, zbiegli się ludzie — nic nie mogli zgadnąć, co się stało z obrazem. Wyszedł więc proboszcz ze Mszą, modlił się bardzo gorąco i dopiero jak wracał od ołtarza, przyjechał parobek od proboszcza z Wilczysk, że obraz cudowny wisi tam w kościele. Proboszcz strasznie zwymyślał swojego parobka, że się upił i niby to pojechał wczoraj do Wilczysk, zamiast tu do Żelechowa, ale przekonał się zaraz, że dokuczał niewinnemu człowiekowi. Na wieczór obraz święty przywieziono z Wilczysk, powieszono przy pro-

boszczu w tem samym miejscu, na noc postawiono straż przy wszystkich drzwiach, a mimo to obraz jutro rano znowu był w Wilczyskach.

Wtedy dopiero wszyscy zawołali:

— Cud!

Byli tacy, co powiedzieli, że święty Stanisław nie chce być w Żelechowie, bo za dużo żydów w mieście, ale to powiedzieli dlatego, że nie chcieli dać pieniędzy na odbudowanie kościółka, choć z pobożności nie opuszczali w żadne święto sumy, ani niesporów. Zato proboszcz, który znał dobrze Pismo święte i żywoty wszystkich świętych Pańskich tak samo jak ojciec Prokop, powiedział, że to święty Stanisław daje znak, że chce, żeby parafianie odbudowali kościółek. Dał więc proboszcz pieniądze, żeby zrobić dobry początek. Dał trochę dziedzie żelechowski, który dlatego, że miał tuzin dworów i w każdym mieszkał bodaj krótko, to w Żelechowie bywał rzadko kiedy. A i ludzie wysupłali coś z węzełków w chustkach, bo jeszcze portmonetek wtedy nie było. Tak zebrało się tego tyle, że można było zmurować kościółek z cegły, który stoi do dziś, choć go co prawda prałat nieboszczyk porządnie odnowił. A jak tu przeniesiono z Wilczysk w wielkiej procesji cudowny obraz, już stąd więcej nie uszedł.

I znowu dużo ludzi schodziło się na odpusty, znowu kramarze, piekarze, rzeźnicy mieli dobry targ, a nawet żelechowskie wyrobnice mogły coś zarobić. Jedna wdowa, która mieszkała w izbedce od ogrodu w domu Antoniego Sokolowskiego nad stawem i robiła bibulkowe kwiaty ze swojemi sierotami, zawsze sprzedawała wszystko na odpuscie i tak mogła przeżyć przednowek. Ludzie chętnie kupowali, bo te kwiaty były prawie jak żywe, ale były lepsze, bo stały do drugiego maja przez cały rok i nawet wody nie trzeba było ciągle zmieniać. Z tem to naprawdę była wygoda.

Ale jednego roku Paulka Glacicha — córka okropnie bogatego bednarza, który też miał dom nad stawem, myśli sobie:

— Jak ona zarabia, to i ja mogę zarobić.

Miała dosyć majątku od ojca na posag, a jeszcze jej się zachciało. Taka była na pieniądze chytra. I narobiła żółtych kwiatów, które poprzywiązywała od góry do dołu na długich patykach. Kiedy skończyła robotę w wigilję świętego Stanisława, poleciała na nieszpory do kościółka, żeby się pomodlić o szczęście w targu. I przed świętym obrazem modliła się tak:

— Cudowny święty Stanisławie, zrób, żeby wszyscy kupowali kwiaty tylko u mnie, nie u niej...

Bezwstydna! Nie bała się Boga i ludzi. Nie wstydziała się odbierać chleba biednej wdowie i sierotom. Ale Bóg nierychliwy, ale sprawiedliwy. Ledwie się nieszpory skończyły, choć to był maj, taka się zrobiła burza, że rety kasza. Ucieka Glacicha, bo ją burza w drodze złapała, byle do pierwszej sieni, wpada do chałupy przy kościółkowej drodze, a tu po mieście krzyk:

— U Glatów się pali!

Poszło z dymem wszystko. Była Glacicha bogata, posag dostałaby ogromny, a tak bodaj z torbami idź na wieś. Tylko w miejscu spalonego domu Glatów, nie (Dokończenie na str. 80).

DON JOSE ST. NOARRO.

14)

ZDOBYWCA AFRYKI

POWIEŚĆ.

— Panie ministrze, prosimy o opinię.

— Badałem stronę finansową całego przedsięwzięcia. Sądzę, że twórca jego pomyślał rzecz dobrze, nadając akcji charakter społeczny i co więcej, wykazał dużo inicjatywy w realizacji swych planów. Rzeczywiście zdołał on zgromadzić drogą subskrypcji około dwieście milionów złotych kapitału. Sukces pierwszorzędnym. Zdaniem moim przy uzyskaniu sumy 300 do 400 milionów cała akcja stoi na twardym gruncie. Potrzebną na ten cel sumę państwo nasze, przy swym 2-miljardowym budżecie, bez wielkich trudności może rozporządzać. Niestety w Sejmie sprawa nie zyskała powodzenia.

— Dziękuję. Panowie! Sprawę Polskiego Tow. Kolonizacyjnego powierzam waszej szczególnej pieczy — mówił premier. Proszę przygotować wnioski, abyśmy mogli o niej konkretnie pomówić w najbliższym czasie.

— Panie premierze! Czuję się w obowiązku stwierdzić, że Żarnicki wygląda na typ zbyt niepodległy. Propozycję wstąpienia do partii i realizowania za jej pośrednictwem swych planów zbył milczeniem. Powiedział, że chce zupełnie samodzielnie przedłożyć rządowi całą sprawę. Nie rozumie, że tak nie można.

— Dlaczego? Że nie chciał z wami gadać? — zaśmiał się jowialnie premier. Nie znaczy to, że ze mną nie będzie gadał. Podoba mi się ten Żarnicki.

— Owszem, domagał się audiencji u pana premiera, a'e nie dopuścimy, skoro nie przeszedł przez nasz filtr.

— Do diabła, zachnął się premier. Żarnicki będzie się ze mną widział, sprawa ważna, z filtrem czy bez filtru — podkreślił głosem — jest do dzieła chłop. A to najważniejsze. Jesteśmy rządem i co nas obchodzi wszystkie intrygi. Interes państwa musi być miarą w ocenie ludzi i spraw, a nie przypadkowy ich rodzaj lub przejściowe błoto intrygi, które spekulanci polityczni starają się dla swych celów rzucić pod nogi.

— Panie premierze, pozwolę sobie zauważyć, że powodzenie naszej sprawy uzyskaliśmy dzięki ściślejszemu subordynacji organizacyjnej i dyscyplinie partyjnej.

— A któż wam powiedział, że Żarnicki nie zasmakuje tej dyscypliny z mej ręki — śmiał się premier rubaszenie. Ma on dobry gust. Jeżeli ma już być bity — to mocno. I nie potrzebuje waszego filtru — uderzył pięścią na stół.

— No tak, ale pan premier polecił przecież kontrolę nad swymi petentami.

— Kiedyż od was, panowie, nareszcie doczekam się rozumnego wykonywania mych poleceń. Nauczcie się odróżnić między płotką a szczupakiem. Te ostatnie są dla mnie.

— Panie wicepremierze, proszę zawiadomić Żarnickiego o wyznaczeniu audiencji. Panie ministrze spraw zagranicznych, akcja w Genewie musi być energiczna. Sprawa rewizji mandatów kolonialnych jest sprzyjającą okolicznością. Jak będziemy mieli Kamerun, to reszta pójdzie łatwo. Musimy mieć Kamerun — niech panowie to zapamiętają.

XVI.

Bal kolonialny stanowił sensację wiosennego karnawału. Wie'e sobie obiecywano po zapowiedzianych przez komitet niespodziankach. Wysoki poziom artystyczny zapewniały nazwiska najwybitniejszych artystów, którym powierzono stronę dekoracyjną oraz wypełnienie programu koncertowego. Oczywiście, piękne panie z towarzystwa liczyły głównie na zabawę. Każda okazja jest dobra. Jeśli można tańczyć na dobroczynnym balu dla głuchoniemych czy na rzecz kuchni dla inteligencji, to czemuż nie można tańczyć na balu afrykańskim. Zwłaszcza, że komitet balowy zapowiedział produkcję autentycznego murzyńskiego jazz-bandu i oryginalnego trio ekscentrycznych tancerzy z Kongo. Ostatecznie Warszawa nie widzi tak wielu murzynów, by zaniedbała sposobności zapoznania się z artystami o tym gatunku skóry.

W ściślejszych sferach związanych z interesami Tow. kolonialnego bal oczywiście tem większe musiał budzić zainteresowanie. Nie należy przecież zaniedbywać żadnego ze środków propagandy, a któż może wątpić w skuteczność foxtrotta, jako zdobywcy dusz ludzkich dla wnieśliwej idei kolonizowania murzyńskiej ojczyzny.

Stefan mniej interesował się techniczną stroną organizacji balu, powierzając ją w ręce specjalistów od ułatwiania ludziom na wzniosłe cele przyjemnej zabawy. Mógł to ostatecznie zrobić z całym spokojem, bo jakkolwiek Warszawa nieco przesadnie nazywa się Paryżem północy, to jednak nie brak tu paryskiego zapachu „do zabawy“.

Już samo wejście na salę ba'ową zapowiadało atmosferę niezwykłych sensacji. Olbrzymi goryl z dziko rozwartą paszczą wchłaniał w siebie tłumy rozbawionej publiczności, której ofiarowywano na wstępie programy, ozdobione motywami murzyńskimi. W pobliżu wejścia stał kram artystyczny, zarzucony różnymi drobnostkami snycerskiej roboty i wogóle sztuki stosowanej. Pociętnie wykrzywione bożki, których prawzory zdobią gdzieś chaty murzynów nad Kongo, amulety i talizmany z zębów żmii czy krokodyla, prawdopodobnie fabrykowane gdzieś w nalewkowskich wytwórniach, osobliwości te zachwycały publiczność, na którą powiał czar egzotyizmu. Mój Boże, tak niewiele trzeba, aby przeciętny śmiertelnik, który odbywał podróże jedynie w swej bujnej wyobraźni po puszczech i dżunglach afrykańskich, uznał za wyraz prawdziwego murzyńskiego natchnienia to, co poprostu wykonali pejsaci żydkowie.

Stroje pań były naogół dostosowane do afrykańskiej atmosfery balowej.

Na sali dużo było smukłych dam, które dzięki parafrinowym kąpielom nabrały powabu. Złudzenie było tem pełniejsze, że w wie'u wypadkach tym wiotkim kształtom towarzyszyły opasłe baobaby męskie, z dużą rezygnacją udzielające tym powiewnym z'awom podpory, opieki i t. d., aż do kolacji z szampanem włącznie. Chwilowo towarzystwo zażywało tańca. Masywne kształty szlachetnych mężów utonęły

w przepaściach bufetu, gdzie na gwałt wyczernione domowego chowu „murzyńskie“ kelnerki udzielały rozkoszy kulinarnych i skwapliwie podsuwały niezbędne kieliszki, bez których tak trudno przeciętnemu śmiertelnikowi wpaść w nastrój zabawy. Atmosfera była poprostu tropikalna. Zresztą jest to rzeczą zwyczajną w warszawskich salach balowych, ciasnych i źle przewietrzanych.

Na dancingu pełniła swe obowiązki młodzież bardzo dopasowana do wdzięcznych kształtów dziesiętnych piękności. Orkiestra rzuciła na salę czar zmysłowej, brutalnej muzyki, w której takt wyginały się pary mniej lub więcej zręcznie i mniej więcej niedwuznacznie. Z rozkrzyzanego saksofonu skoczył na salę demon szału zmysłowego, wyhodowany gdzieś w puszcach podzwrotnikowych i wykarmiony krwią murzyńskiej pierwotnej kultury. Chwytał on za nogi roztańczone pary, rzucając je w konwulsyjnych skrętach, wyłamując w kolanach i biodrach.

Z dzikich tych swawoli złośliwym chichotem drwił klakson. Było duszno, pierwotnie i dość głupio. Lecz przecież do takiej zabawy nie trzeba zbyt wiele rozumu.

Marysię wyzwolił z męzowskiej opieki hr. Żarnicki, który znalazł w niej oddaną współpartnerkę tanecznej ekwilibrystyki.

— Pani czuje się dobrze w tej atmosferze? — zapytał hrabia.

— Nie będę przeczyć, jakkolwiek wyznam, że współczesny taniec jest nieco brutalny.

— Czyżby nie odpowiadał duszy kobiecej?

— Pan hrabia chce być złośliwym, czy też naprawdę nie zna naszej duszy?

— Kobietę zdobywa się brutalnością.

— Nie każda. Proszę nie zapominać — odparła poważnie.

Hrabia spojrzał bacznie na Marysię.

— Nie spodziewałem się tego z ust pani.

— Przykro mi bardzo, że hrabia zna kobiety z tak niepoehlebnej strony, chyba to nie ich wina. Tych kobiet, które różnią się od przeciętnego typu, służącego za łatwą zdobycz.

Hrabia spojrzał znów na partnerkę. Poza czy szczerść? — pomyślał. W każdym bądź razie zaczyna mnie interesować. Trzeba uderzyć w jej ton.

— Lubię trudne zdobycze — odpowiedział, zaopatrując te słowa w jeden z najbardziej uwodzicielskich uśmiechów ze swego arsenału.

Zostawmy tę parę pod opieką koncertowej orkiestry w tem przekonaniu, że zawiązująca się wymiana myśli może doprowadzić do rozwiązania poważnego, albo też nie przynieść żadnego skutku.

Wszystko zależy od tego, jak dalece hrabia zechce zająć się zbadaniem, czy nowy okaz kobiecej duszy zawiera w sobie coś więcej ponad konwencjonalne pozory nieprzeciętności i wzniosłości, nieprzystępnej dla zuchwałych zdobywców, póki się energicznie nie wzmą do dzieła.

Przejdźmy się teraz w inną stronę, gdzie w uroczym zakątku króluje wróżka.

Z pewną trudnością przyszyłoby rozpoznać nam pod welonem i szminką zręcznej charakteryzacji naszą dobrą znajomą, Sarę. Kosztowało ją to nieco zabiegów, by zdobyć tę niezwykłą placówkę. Plan jej był bardzo prosty. Liczyła na to, że zwabi pod swój namiot za-

równo Stefana jak i wreszcie hrabiego, by zarzucić na nich sidła swej intrygi.

Z pewnem zdziwieniem stwierdziła, że ostatnia, uwieczniona niepowodzeniem rozmowa ze Stefanem, miała odstręczyć ją od niego, dodała jeszcze nowego uroku i nowej podniety do gry o tę płowowłosą bestię, jak go nazywała w momencie liryczno-erotycznego nastroju. Tem bardziej ją to dziwiło, że w skali jej uczuć zaczął dźwięczeć jakiś nowy ton. Coś niezwykłego — cóżto, zaczynam się robić sentymentalna? — powiedziała sobie. — Ale trudno, tak czy inaczej muszę go mieć.

Przyjazny los sprzyjał widać jej przebiegłym planom. Bo oto w tej chwili przed namiotem zamajaczyła sylwetka dra Stefana. Postanowienia jak błyskawica przebiegły jej umysł.

— Przybyłam prosto z pod afrykańskiego nieba, by spojrzeć w oblicze nowego cezara — rzekła.

— Pani gra rolę Kassandry, czy Kleopatry? — odparował Stefan, któremu głos wróżki wydał się znajomy.

— To zależy, czy Cezar interesuje się tylko Afryką — czy i Afrykankami?

— Interesuję się wszystkim, co może być pożyteczne dla mej sprawy.

— Doktorze. Proszę, daj mi rękę, wyczytam ci przyszłość. — Wzięła go za dłoń i pilnie zaczęła się w nią wpatrywać.

— Nad Afryką zabłyśnie słońce, jeśli Cezar przejdzie przez znak Panny pod gwiazdę Salomona.

— Niejasna jest twa wróżba, Kassandro!

— Cezarze. Czemu młczy twe serce? Grozi ci niebezpieczeństwo, jeśli nie usłuchasz wróżby.

— Niebezpieczeństwo?

— Tak. Łuczniczka zabierze ci Pannę.

— Nie potrzebuję Panny. Jestem żonaty.

— Panna — znaczy Afryka!

— Dwuznaczna jest twa wróżba.

— Doktorze Stefanie, dziwnie jesteś niedomyślny. Nie czujesz, jak mi drży serce.

Położyła dłoń na swą pierś, którą poruszyło głębokie westchnienie.

Stefan się wstrząsnął.

— Ach to pani! Saro! — zawołał, uświadamiając sobie nagle, kto kryje się pod welonem wróżki.

— Tak, Stefanie. Kocham pana. Pan musisz być moim. Dam panu szczęście prawdziwe, przyczynię się ze wszystkich sił do urzeczywistnienia jego idei.

— Kusicielko, daremny trud. — Stefan wstał gwałtownie.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Dokończenie legendy „O dziewannie“.

wiadomo skąd, wyrosły przez jedną noc wysokie, żółte kwiaty bez ogonków, jakgdyby przywiązane do lodygi zielonej. Tak powstała dziewanna, o której zaczęto mówić:

*Gdzie rośnie dziewanna,
tam jest bez posagu panna.*

Panny na Podlasiu strasznie nie lubią tego badyla. Jeśli go tylko zobaczą w pobliżu domu, odrazu go wyrzucają i dlatego na Podlasiu dziewannę znaleźć można chyba na ugorach — bardzo daleko od ludzkich chałup.

Józef Marjan Chudek.



Skok ze spadochronem.

Ostatni sowiecki lot do stratosfery rzucił ciekawe światło na problem żeglugi powietrznej w górnych warstwach atmosfery. Jak wiadomo nowy ideał lotnictwa streszcza się obecnie w chęci stworzenia komunikacji napowietrznej, torpedowej. W tym celu trzeba zbadać warunki atmosferyczne górnych warstw powietrza. W nadziejach techników komunikacja torpedowa przedstawiałaby się w ten sposób, że pocisk poruszający się z olbrzymią szybkością dziesiątków tysięcy metrów na minutę, przebiegałby górne warstwy atmosfery, gdzie zmniejszone ciśnienie i niska temperatura pozwalały mu odbyć tę podróż szybciej, pewniej i bezpieczniej. Stąd wyłonilo się ciekawe zagadnienie jak się właściwie przedstawia temperatura i ciśnienie wysokich warstw powietrza. Ostatni sowiecki lot do stratosfery zachwiał ustalonymi w tej dziedzinie poglądami. Przedewszystkiem okazało się nietrafnym przeświadczenie, że im wyżej, tem zimniej. Do pewnej granicy m. n. 17.000 m. temperatura rzeczywiście znacznie spadała. Ponadto jednak zimną warstwą lotnicy sowieccy stwierdzili nagły, a zupełnie niespodziewany wzrost temperatury. Gdy do tej granicy było m. w. około 500, to powyżej okazało się nagle ledwie 150 zimna. Kwestja ciśnienia także nie odpowiedziała ścisłym

teoretycznym przewidywaniom. Ten właśnie fakt zaskoczenia balonu stratosferycznego „Sirius“, w którym wystartowali sowieccy uczeni, przez nieprzewidziane warunki atmosferyczne niewątpliwie przyczynił się do katastrofy. Ścisłejsze zresztą ustalenie przyczyn tej katastrofy zabrali ze sobą do grobu bohaterowie podniebnej wyprawy.

Obok tego tragicznie okupionego sukcesu lotu na 22.000 m. w górę, lotnictwo ma do zapisania ciekawy eksperyment pewnego Niemca, który od lat pracował nad problemem przypięcia człowieka w sensie zupełnie dosłownym, ikarowych skrzydeł. Twierdzi on, że dotychczasowe odwzorowywanie się w próbach lotnictwa na ptakach było w pewnym sensie błędem, gdyż organizm ludzki nie przypomina ptasiego, brak mu pierzy i piór, a także pustych kości, co wszystko ma kolosalne znaczenie dla nośności. Natomiast taka „latająca mysz“ nietoperz może być właściwym wzorem dla człowieka. W myśl tego zbudował on z jedwabiu i prętów skrzydła zbliżone do nietoperzych, mające do siedmiu metrów rozpiętości i ważące ledwie parę kilo. Pierwsze loty z wysokiej wieży udały się szczęśliwie. Wynalazek budzi duże zainteresowanie w kołach sportowców.



MIECZYŚLAW GURANOWSKI

Ciekawa to chwila, gdy po raz pierwszy stajemy przed drzwiami czyjś mieszkania. Przed naszymi oczyma wyłania się nazwisko na szyldziku. Nazwisko człowieka, o którym najczęściej niewiele wiemy, którego — skoro jest literatem — staraliśmy się conajwyżej poznać z jego dzieł. Ale przecież jeśli dzieło odsłania, jak mówią, oblicze duchowe jego twórcy, to w pewnym stopniu i pewnym znaczeniu nakłada nań także maskę, która go zakrywa, której styl może być zgoła czemś innym od stylu jego prywatnego życia. Może być i jakże często bywa.

Co innego mieszkanie. Panujący w niem styl, ład czy nieład stanowi niewątpliwie już bardziej osobistą własność człowieka, jest jego codziennym tłem, na które musi on oddziaływać, które nań oddziałytuje. Mieszkanie jest doprawdy tą skorupą ślimaka, której cprawda ze sobą nie nosimy, ale której kształt nas modeluje.

Gdy więc wypadnie mi stanąć po raz pierwszy przed obcymi drzwiami, zawsze zadaję sobie pytanie, co się za nimi ukrywa, do jakiego prowadzą one świata, jaka jest jego aura i jaki z nią związek mieszkańca. Cienka ścianka drzwi oddziela nas przecież od tajemnicy czyjś prywatnego życia, które jest źródłem, korzeniem i fundamentem życia publicznego tego człowieka.

Takie i tym podobne myśli ogarniają mię nieraz, gdy w mej wędrowce reportażowej staję przed nowymi drzwiami. Dziś stanąłem przed drzwiami, na których czytam: Mieczysław Guranowski. Dzwonię i myślę sobie, jakże to jest proste i jakże skomplikowane. Oto umówiłem się z autorem „Pazia” na rozmowę, za chwilę wtargnę do niego i będę go sekował skalpelem mej niedyskrecji. Pocięszam się tylko, że sam się przecież na to zgodził. Dzwonię i wiem, że mi otworzą i zapytają się, czy to pan redaktor, a potem zdejmę palto i znajduję się w siedzibie, która jest dla kogoś najbardziej centralnym punktem świata, najbardziej upragnioną przystanią, najdroższym jedyndem gniazdem, zdolnym przetrwać wszelkie burze i za-

wieruchy jeśli znajdą się serca gotowe go bronić. Jakże brzmi to patetycznie w czasach, które żyją pod znakiem raczej likwidacji ogniska domowego... Ale właśnie dlatego trzeba o tem mówić...

Stało się już wchodzę do pracowni autora. Pierwsze wrażenie... Właściwie jest szereg wrażeń, które formułują się w sąd: artystycznie urządzone zacisze. Wśród obfitości różnych szczegółów, obrazów, portretów, miniaturowych makat wschodnich, elektrycznego świecznika, bibliotecznej półki, widzę przede wszystkim kwiaty. We włoskiej amforze ponad biurkiem chwieją się purpurowe ich kiście na wiotkich łodygach. Domyślam się, wiem prawie, że królują one nad białymi kartkami papieru, na których ręka gospodarza wyczarowuje wizje poetyckie, równie gorące w kolorycie, jak ich barwa szkarłatna. Skąd wiem? Wysoka temperatura książek Guranowskiego działa przecież zniewalająco na czytelnika. Przypominam sobie, jak, czytając, uległem odrazu czarowi jego „Kobiet biblijnych”.

Pierwszy rekonesans w terenie wypadła przekonywująco. Stwierdzam paralelizm atmosfery dzieł i życia ich twórcy. Dodaję mi to otuchy, że jestem, że tak powiem na właściwym tropie.

W tej chwili wchodzi gospodarz. Zagłębia się w wygodne fotele. Przede mną maurytański stolik z przyborami do palenia. Z przyjemnością mu się przyglądam, choć sam nie palę.

— Więc wywiad?

— Tak i nie — chcę trochę zdekonspirować pana, chcę zeń wydobyć coś bardziej osobistego i wewnętrznie ważnego poza indeksem suchych faktów. A więc od faktu kiedy pan zaczął, co po raz pierwszy napisał ważniejsze jest dla mnie: jak się to stało i dlaczego? Chodzi mi o magię pisania. Słowem taka spowiedź powszechna.

— Otóż to. Był we mnie oddawna mus pisania. Zaczęło się to na ławie szkolnej. Już jako trzecioklasista pisywałem wypracowania polskie dla kolegów z wyższych klas, z których stylu domyślano się odrazu mego autorstwa. Te moje autorskie popisy (redagowałem w szkole dziennik) omal nie przypłaciłem zatargiem z władzami zaborczeni. Z drugiej strony te zapędy pisarskie nie budziły wcale zachwyta w mej rodzinie, gdy się zaś jeszcze do tego wdałem w romantyczną miłość, wypadło mi uciekać z Warszawy, w ślad za narzeczoną pojechałem do Łodzi.

— Makabryczne miasto.

— A jednak tam przeżywałem swą sielanekę. Pobraliśmy się za indultem (żona była nieletnia), ułatwił nam to zacny ks. prob. Szmidel. Na początek było nam chłodno i głodno, ale zawsze ogrzewało nas uczucie. Do dziś dnia żona jest mi idealną towarzyszką i pierwszym czytelnikiem moich rękopisów. (Gdy to mówi spoglądam nań, szukając mimowoli potwierdzenia tych wyznań w wyrazie jego skulionej twarzy. Obok jego głowy, w perspektywie pokoju znów zauważam purpurowe kiście kwiatów, a troszkę niżej — że też dotąd tego nie spostrzegłem — na smukłej, strzelistej łodyżce, jak panna w bieluchnym welonie, hiacynt, rozsiewający dokoła dyskretną woń. Purpurowe kwiaty pochylają się nad nim z miłością. Nagle ołśnienie myśli. W tem sąsiedztwie kwiatów spostrzegam symbol atmosfery tego domu. Docieram wreszcie do sekretu tej atmosfery. To miłość. Jeśli Dante mówi, że „miłość porusza gwiazdy i słońca”, to jakież cuda sprawić musi w ludzkich sercach?). Guranowski mówi zaś dalej: — Dostałem się cprawda do „Kurjera Łódzkiego”, ale na jakże podłych warunkach. Mimo, że miałem już dwa konkursy literackie za sobą. Głupstwo! były skrzydła u ramion. Życie biegło od niespodzianki do niespodzianki. Raz w teatrze łódzkim spotykam się z jednym z moich kolegów, który mię wita:

— Jak się masz Bigos!

— Co za niesmaczny żart — oburzyłem się.

— Nie udawaj. Przecież „Kurjer Poranny” w Warszawie drukuje twą powieść „Bigos”.

Istotnie, wyjeżdżając z Warszawy, zostawiłem Janowi Czempieńskiemu powieść pod tym tytułem z życia Powiśla, napisana gwarą, pełną realistycznego zabarwienia, a pochwyconą na uczniowskich wagarach. Powieść tak się podobała, że naśladowano ją, pisząc w podtytułach „à la Bigos Guranowskiego”. To mię poratowało finansowo i zrobiło mi nazwisko literackie. Zaczęłem być poszukiwany. Był czas, że w 3—4 pismach jednej niedzieli pojawiały się moje nowele.

— Słowem Bigos okazał się dobrze strawny i zdrowy — wtrącam z uśmiechem.

— Na szczęście, na szczęście — eksklamuje gospodarz — żyłem wtedy — wraca do przerwanego wątku — atmosferą realizmu. Interesowałem się współczesnością, chwytałem życie bieżące na gorąco, na surowo. Przemawiała przeze mnie młodość, nie znająca granic, przeszkód i hamulców. Był np. moment, gdy otrzymawszy na progu młodości schedę, rozrzuciłem szeroko pieniądze. Ale brałem wzamian za to moc wrażeń, które się przydały jako podnieta twórcza.

— Przeżycia to potencjał natchnienia poety — wtrącam.

— Z tego potencjału wyładowałem, że tak powiem szereg powieści o podłożu realistycznym, jak „Za kulisami”, „Modelka”, „Prowincja”, odmalowałem w nich bez obsłonek świat teatru; poznałem go bliżej gdyż siostry mej żony oddały się karierze artystycznej. Jedna z nich Rotter-Jarnińska zdobyła sobie na scenie głośne nazwisko. Środowisko artystyczne wogóle jest osnową szeregu moich powieści, jak np. „Padyszach”, a dalej stylizowanych nowel z epoki włoskiego odrodzenia jak „Madonna z Mantui”, „Natchnienie Beritoli”, „Paź” i t. p. Oczarowała mię wówczas pełna słońca, grająca potęgą namiętności szekspirowska atmosfera tych czasów i ludzi i ich wielkiego świata, który mi się otworzył w czasie podróży do Italji. Po kilku latach znalazłem się znów w Warszawie. Zdobyłem miejsce w prasie. Pisałem dużo. Mijały lata. Przyszła wojna. Walka o chleb absorbowwała coraz więcej sił. Ale nie porzucałem pióra. Wstrząs psychiczny, któremu uległem w związku z wypadkiem mej żony (głos mu się tu załamuje, czuje, że dotyka sprawy wciąż bolesnej), nadał jedynie nowy kierunek mej twórczości. Pchnął w stronę świata przeszłości, tematów biblijnych. Tak powstały „Kobiety biblijne”.

— Dzieło, którego koloryt i napięcie twórcze wywarło na mnie wielkie wrażenie — wtrącam w bezpośrednim wybuchu szczerości.

— Przyjemnie to słyszeć zwłaszcza o książce bardzo mi bliskiej i drogiej i o zakresie tematów i zjawisk, w którym znajduję prawdziwe wytchnienie po uciążliwej pracy na swem obecnym stanowisku. Z tego samego źródła zrodził się pomysł tryptyku powieściowego o Chrystusie. Chcę przedstawić w formie narracji życie Mistrza z Nazaretu, potraktowane jak najpełniej, najwyraziściej, a następnie poprzez obraz współczesnego życia odtworzyć wi-

zję przyszłego królestwa Bożego na ziemi. Jestem w tej chwili w trakcie studjów. Zgromadziłem sobie trochę książek. Zbliżyliśmy się razem do stołu i przeglądamy. Coby pan mi jeszcze wskazał, redaktorze? — radzi się autor.

— Ostatnio wyszło piękne dzieło Arcybiskupa Teodorowicza „Od Betleem do Nazaretu”, wspomnieć należy z dawniejszych o Bougaud, lub Lagrange'u, z niemieckich autorów doskonali jest Meschler.

— Widzi pan, mam tu Renana — pokazuje mi Guranowski. Jest on promotorem moich założeń.

— Jest to istotnie genialny wizjoner — zgadzam się. — Należy mieć tylko na uwadze jego błędny punkt wyjścia, to jest traktowanie Chrystusa jako pierwszego człowieka, który stał się Bogiem.

— W każdym bądź razie Renan nietylko uznaje Chrystusa, ale go i podziwia.

— Bo też anima humana, naturaliter christiana.

— Poza zagadnieniem samej postaci, ustaleniem jej że tak powiem psychicznej miary, nastęrcza mi szereg kwestyj problem formy. Jakże bezsilne są nasze środki literackie wobec takiego zadania. Jakże wogóle trudno o właściwe podejście do tematów biblijnych. Miałem ostatnio w ręku „Historje Jakubowe” Tomasza Manna. Rozczarowała mię skutek splątania motywów dawnych i społecznych.

— Istotnie i ja wyniosłem niepoehlebne wrażenie. Cały balast interpretacyjny Manna nie przylega zupełnie do tej opowieści. Stylizacja zawiodła. Wielki temat został strywalizowany. To bywa zresztą często. Nasza cywilizacja jest wogóle trywialna.

— Tak pan sądzi?

— Wygodna, ale trywialna. Zabrała nam bajkę zdezwuowała mit, a więc zubożyła życie.

— Dodała mu praktyczności — lekko oponuje gospodarz bez chęci jednak bezwzględne odrzucenia mej opinji.

— Zapewne, ale i pospolitości. Gdy posąg Memnona śpiewał o świecie, jeśli nawet był w tem trick techniczny, to przecież na służbie mistycyzmu, gdy dziś radio — ów „głos świata” bębni nam cedułę giełdową, albo nadaje jazzband — doprawdy jest to ohydne.

Domawiając powyższych słów, podnoszę głowę i automatycznie zaczynam się rozglądać, jakby wzywając na świadka prawdy ściany tego domostwa. I nagle w teje chwili uświadamiam sobie, jaką te ściany obejmują przyjazną atmosferę, jak tu wszystko jest zharmonizowane, jak związane z usposobieniem gospodarza, jako człowieka i pisarza, jak zgodne z klimatem jego dzieł. Wobec tego wydaje mi się zbędne przekonywać go o tem, co sam uznaje i realizuje w swem życiu, w sposobie wiązania prozy z bajką, z estetyczną nadwartością. Żegnam go i wychodzę, jeśli bez zazdrości to dlatego, że cząstkę tej atmosfery zabrałem ze sobą.

— Józef St. Czarnecki.



Z PIŚMIENICTWA

TADEUSZ KOŃCZYC: *Sielanka*. Nakładem F. Hoesicka 1933.

Tadeusz Kończyc zajmuje we współczesnej poezji polskiej miejsce odrębne, ze względu na odrębny i oryginalny charakter twórczości. Jego dwa poprzednio wydane tomy poezyj, ukazały nam poetę, którego duszę wypełnia tęsknota i żal, że chwila, o której się w życiu śni, szybko mija. Kończyc w swych poezjach dokądaś się wyrzywa, czegoś szuka i za czemś tęskni — ta jego tęsknota czasem przechodzi w skargę, lecz czyni to cicho i prawie niedosłyszalnie, gdyż zgrzyty, zawarte w skardze, giną w subtelnych półtonach i niedomówieniach, właściwych temu dyskretnemu marzycielowi.

Ostatni zbiór nosi tytuł „Sielanka”. Nie wdając się w szczegółowe omawianie poszczególnych wierszy, będących żywym dowodem świetnej „roboty poetyckiej”, połączonej ze znakomicie rozwijającym się i pełnię dojrzałości osiągającym talentem — chcę kilka słów powiedzieć o tych co do każdego, bez wyjątku do każdego przemówić muszą.

Na ścieżkę, którą zmierzam ku wiecznej
Pada wtedy Twój uśmiech jasny, [granicę,
prosto z nieba,
Zda się, że głos Twój słyszę:
— nie martw się, nie trzeba...
I budzę się z tęsknoty, i wyciągam ręce,
Ale cisza panuje w cmentarnej ulicy
I tylko głaz mogiłny patrzy w twarz mej [męce.

Oto jak potrafi ten czuły i subtelny poeta w niemal religijnej zadumie rozmyślający, wskrzesić pamięć umarłej matki!... To są momenty nieprzemijające, to są słowa, których nijak zapomnieć i niczem wykreślić z pamięci się nie da — za ten jeden wiersz, jak powiedziałby pewien dowcipny krytyk francuski, autorowi „Sielanki” należałoby się „mała nieśmiertelność”.

St. Br.

WANDA MIŁASZEWSKA: *Trzecia siostra*. — Św. Wojciech 1934.

Wanda Miłaszewska, świetna powieściopisarka autorka szeregu powieści w duchu narodowym i katolickim, znakomita stylistka i konstruktorka swych utworów, technicznych urokiem prawdziwej świeżości, bezpośredniości i swojszczyzny, wydała ostatnio nową powieść p. t. „Trzecia siostra”. Powieść ta, która się ukazała nakładem Księgarni św. Wojciecha w Poznaniu, z miejsca zdobyła sobie rekord poczytności wśród szerokich sfer czytelników. Trudno jest w paru słowach ocenić walory tej doskonałej, zwarcie napisanej powieści.

Zgóry już powiedzieć możemy, iż „Trzecia siostra” jest nową złotą kartą w twórczym dorobku autorki „Czarnej Hańczy”.

JANUSZ KOTARBIŃSKI: *Nowele tatrzańskie*. Z linoleorytami autora, str. 150.

Nowele te rozpadają się na dwa działy: fantastyczno bajkowy i realistyczno nowelkowy. Trzeba przyznać, że lepiej wypada pod piórem autora realizm. Autor, wżyty w atmosferę Tatr, umie dość wiernie i prawdopodobnie przedstawić charakter ludzi i natury. Zrećnie posiłkuje się gwarą góralską, świetnie podkreśla koloryt lokalny zdarzeń i spraw. Napięcie dramatyczne niektórych szkiców jest rzetelne i wysokie. Pod tym względem wyróżnia się „Wiatr halny”. Linoleoryty autora pełne siły i dramatyzmu prawdziwie tatrzańskie.

M. FREDRO-SZEMBEK: *Same tajemnice*. Powieść dla dzieci. Nakł. aut. 1932, str. 63 — z ilustracjami.

Miła ta, bezpretensjonalna powiastka maluje figle i psoty paru malców, którzy przejęci lekturą bajek zaczynają poszukiwać skrzatów. Wynika stąd wiele zabawnych komplikacji. Język książki ma pewne usterki. Stosowna na podarunek gwiazdkowy.

J. SOBOLEW: *Karanie wychowawcze* — Poznań 1933, str. 140.

Ciekawe to studjum w sposób wyczerpujący i pełen siły argumentacyjnej omawia pedagogiczną wartość oraz metodykę kary cielesnej. Jest rzeczą pożądaną, aby rodzice i wychowawcy poważnie traktujący swe obowiązki, zapoznali się z wywodami autora.

M. ŁUCZYŃSKA: *Martwym szlakiem*. Powieść. Wyd. J. Przeworskiego 1933, str. 298.

Nowa powieść płodnej powieściopisarki po części rozgrywa się na tle stosunków w Łodzi. Stosunki środowiska fabrycznego nie odgrywają jednak decydującej roli. Główny nacisk położony jest na rysunek psychologiczny niedobranego małżeństwa Anielki i Marka Odoniczów. Pierwiastek irracjonalny, uczuciowy, wystarczył do stworzenia tego związku, ale za mało jest tego dla jego utrzymania. Odoniczowie żyją nie ze sobą, lecz obok siebie. Tej niedobranej parze przeciwstawia autorka inną dwójkę: Germę i Grzegorza, którzy powoli dorastają do zadań małżeńskich. „Martwym szlakiem” niewątpliwie świadczy o postępie tech-

niki pisarskiej Łuczyńskiej, zwłaszcza momenty liryczne i opisowe są dobre, tego poziomu nie mają natomiast partje refleksyjno-psychologiczne.

WŁADYSŁAW L. EWERT: *Musimy zwyciężyć*. 1934, str. 108.

Z głębokiej troski obywatelskiej powstały te szkice publicystyczne o charakterze historjograficznym. Temperament pisarski autora sprawia, że się je czyta z prawdziwą satysfakcją.

A. WERYTUS: *Skarby Jasnogórskie*. Wyd. 3-cie. Kronika Rodzinna. 1934. Str. 246.

Jest to ciekawa opowieść o tem, jak to Prusacy usiłowali skraść skarby jasnogórskie i jak im się to nie udało. Nowe wydanie najlepiej świadczy o popularności książki.

Dr. JERZY POGONOWSKI: *Bohater Radzymina*. 1934, str. 55. Kronika Rodzinna.

Bohaterem tym jest kpt. Stefan Pogonowski, który w przełomowy dzień 15 sierpnia 1920 roku, kiedy załamała się ofenzywa bolszewicka odegrał decydującą rolę. Studium powyższe przytaczające wiele materiałów źródłowych, owiane jest ciepłą atmosferą uwielbienia dla bohatera.

AURELI DROGOSZEWSKI: *Eliza Orzeszkowa — 1841—1910*. Skład główny w Domu Książki Polskiej. Cena zł. 2.

Autor kreśli z głębokim odczuciem duchową sylwetę Orzeszkowej.

Ze studjum tego wylania się świetlana postać Orzeszkowej, której zarysy zbladły już w pamięci współczesnego pokolenia. A przecież Eliza Orzeszkowa jest jedną ze szczytowych postaci, którymi Polska chlubić się może przed całym światem. Wielka artystka słowa, serce młujące, charakter niezłomny i taka nam bliska w swych dziełach przez kult pracy i człowieka pracującego:

Cierpimy głód dobrej polskiej książki, wyciągają się po nią ręce szerokiego ogółu, daremnie oglądamy się za książką Orzeszkowej, Konopnickiej, Dygasłńskiego itd.

Praca prof. Drogoszewskiego w nowej szacie, starannie wydana, jest bardzo na czasie i nie wątpimy, że należycie rolę swą spełni ku zadowoleniu ogółu, któremu przypomni Elizę Orzeszkową.

XENIA ŻYTOMIRSKA: *Wiersze*. 1933. Dom Książki Polskiej.

Atmosfera romantyczna wieje z tych utworów rzetelnego talentu. Autorka zdaje sobie zresztą sprawę z retorycznego charakteru swych poezyj, że umie jednak odświeżyć starą formę, to już jej zasługa.

STANISŁAW MŁODOŻENIEC: *Futurogamy i futuro-pejzaże*. Warszawa. 1934. Wyd. „Wakopy”.

Aż bucha z tej książki zdrową, twórczą atmosferą poetycką. Autor walczący od paru lat na reducie nowej poezji, zdobył już pełnię naszego uznania. I to zdobył wstępny bojem. Być może temu i owemu będziemy się dziwić tem i owem przerażać, ale to dodaje tylko smaku napojowi z tego świeżego źródła poezji, które stanowi twórczość Młodożenica.

RÓŻNE WIADOMOŚCI

„SYN SŁONCA“.

Dynastia japońska jest najstarszą na świecie. Od czasu koronacji (w 660 roku przed Chrystusem) jej historycznego praojca Zimmu Tenno pozostaje ona bez przerwy na tronie, a obecny Mikado jest 224 jej koronowanym przedstawicielem.

W czasie koronacji wręczają cesarzowi trzy relikwie, jako spadek po twórcy dynastji, królowej Słońce: zwierciadło znamionujące prostotę i czystość duszy, drogocenny kamień, jako symbol dobroci, wreszcie miecz znak zdecydowania i odwagi. Od tej chwili osoba mikada staje się świętą. Ongi zwykli śmiertelnicy nie mieli prawa na niego patrzeć, aby go wzrokiem swym nie splamić.

Dawniej nie było nawet posągów i portretów cesarza, dopiero od czasu reform Meiji zjawiły się jego wizerunki, a w szkołach japońskich dzieci padają na twarz przed portretem cesarskim.

Dla uczczenia cesarza Japończyk jest gotów ponieść wszelkie ofiary. Młody malarz Ikozo Ito w czasie bojów szanghajskich namalował portret mikada swoją „krwią patryjotyczną“, którą brał z lewej ręki i nogi tak obficie, że po skończeniu portretu upadł w omdleniu. Ofiarę jego stawiono powszechnie. Gdy żołnierze idący w Szanghaju do walki dowiedzieli się, że cesarzowa własnoręcznie wybierała jedwab na pokrycie urn żałobnych — „uważali się za szczęśliwych“.

Cesarze japońscy władają mieczem ofiarowanym przez bogów pierwszemu Mikado. Miecz ten, symbol władzy, uważa się za najwyższy klejnot państwa i przechowuje się z ogromną czcią, jako relikwie. Nosi on nazwę Kusakagi-No-Curugi i złożony jest w ołtarzu świątyni Atenty.

Stary obyczaj każe, aby ten ołtarz przebudowywał się co lat czterdzieści i taka przebudowa odbyła się właśnie w roku bieżącym, a w czasie jej trwania miecz przechowywany jest w ołtarzu prowizorycznym, poczem niezmiernie uroczystie przenosi się na stare przebudowane miejsce. W uroczystości przenosin przyjmuje zawsze udział całe wyższe duchowieństwo i specjalny wystannik Mikada.

W tym roku uroczystość powyższa odbyła się z niezmiernym przepychem przy udziale olbrzymiej procesji z pochodnia-

mi w rękę. Trwała kilka dni. W chwili, gdy ozdobiona drogocennymi kamieniami kasetą, w której leżał miecz święty została złożona przez kapłanów na ołtarzu, wszystkie ognie pogasły za wyjątkiem kilku małych latarenek w rękach wyższego duchowieństwa. Ale i te światełka były poprzykrywane jedwabnymi zasłonkami, aby jaki wzrok nieczysty nie skalał, leżącej na ołtarzu relikwji...

Powtórna ceremonia odbędzie się po upływie lat czterdziestu.

Z POSTĘPÓW MEDYCyny.

„Neue Freie Presse“ donosi, że oftalmolog z Kiauzenburgu dr. Hamburger, przedstawił na posiedzeniu wiedeńskiego Towarzystwa Okultystycznego nowy sposób leczenia zaniku nerwu wzrokowego. Na podstawie studjów o zatruciu nerwu wzrokowego przez alkohol, doszedł dr. Hamburger do wniosku, że choroba nerwu wzrokowego powstaje na tle niedostatecznego oddychania tkanek. Przez stosowanie pewnych soli metalowych i preparatów gruczołu tarczycowego, zwiększających oksydację tkanek, mógł dr. Hamburger w niektórych wypadkach zapobiec zanikowi nerwu wzrokowego i groźbie utracenia wzroku. Czasami udawało mu się nawet poprawić zdolność widzenia. Doniesienia dr. Hamburgera wywołały w Wiedniu silne wrażenie. Przeprowadzono szereg doświadczeń, z których wynika, że jakkolwiek nie udało się stwierdzić napewno poprawy choroby, to jednak dał się zauważyć zastój procesu chorobowego i wstrzymanie dalszego zaniku nerwu wzrokowego. Na klinikach wiedeńskich czynione są dalsze doświadczenia w tym kierunku.

Prof. dr. G. Zuelzer, który swego czasu sprządził z wątroby hormon sercowy, stosowany z dobrym skutkiem przy zaburzeniach obiegu krwi, zdołał niedawno wyodrębnić, ze śledziony hormon, działający nadzwyczajnie w wypadkach chronicznej obstypacji i nieżyty kiszki. Hormon ten wywołuje silniejszą cyrkulację krwi w narządach trawienia i wpływa silnie na ruchy perystaltyczne jelit. Stwierdzono przytem, że „hormon trawienia“ jest nieszkodliwym i może być stosowany przez zastrzykiwanie go do substancji mięśniowej.

JAK MOŻNA WYKORZYSTAĆ TRYLOGJĘ.

— Czy to aby pewny materiał? — spytał pan Rozengart, obracając w rękę weksle.

— Eff! Eff — odpowiedział z całą pewnością Rubin Kotłownik, młody, lecz zdolny handlarz, od kilku tygodni korzystający z inkasa p. Rozengarta.

— Kto jest ten... Andrzej Kmicic? — badał nieufnie dyskonter, odczytując podpis.

— Bogaty człowiek. Szlachcic z kresów. Un ma las. Samej granicy będzie ze dwie mile.

— A ten drugi? Michał Wołodyjowski? — Oficer. Pułkownik. Un ma się żenić z jedną bardzo bogatą panną. Una się nawet nazywa Bardzobogata.

— A ten Ketting?

— Un ma wujka w Anglii, a tu un ma dobrą posadę u księcia Radziwiłła. We wogóle co się pan tak pytasz, panie Rozengart? To jest mur, nie weksel. Każdy ten kawałek papieru, to jest kawałek muru, pan wiesz?

Pan Rozengart zdyskontował weksle, aczkolwiek niechętnie. Miał jakieś przeczucie, że to niebardzo pewny materiał. Teraz szlachta kiepsko stoi, a jeszcze na kresach...

Przeczucia go nie zawiodły. Ani jeden weksel nie był wykupiony w terminie, co gorsza zaś sam wystawca, Rubin Kotłownik przepadł, jak kamień w wodzie. Pan Rozengart szalał z rozpaczy, której nie ukołła nawet wiadomość, że policja znalazła Kotłownika. Złośliwy wystawca przyznał się z rozbijającą szczerością, że wszystkie podpisy sfalszował osobiście.

— A skąd oskarżonemu przyszedł do głowy te nazwiska? — spytał na rozprawie zaciekawiony sędzia, odczytując weksle z odpisami: Andrzej Kmicic, Michał Wołodyjowski, Hasling Ketting, Onufry Zagłoba, Jan Skrzetuski.

— Moja siostra — wyjaśnił chętnie faszszersz — to una ma taką książkę, co tam te wszystkie panowie stoją. Bardzo bogate panowie. Tylko przez to, że ich trochę wojna zniszczyła, to uni widać nie mogą płacić.

Kotłownik opuścił sąd z wyrokiem półrocznego więzienia. Apelować nie będzie.

HUMOR

PRZERAŻENIE IRUSI.

Ojciec telefonuje do domu. Mama dla żartu przykłada małej Iruśki słuchawkę do ucha. Iruśka po raz pierwszy słucha. Chwilę słucha spokojnie głosu ojca, wreszcie wybuchła płaczem.

— Mamusiu! — woła przez łyż — trzeba tatusia zaraz wyjąć z tej małej skrzynki.

KTÓRY LEPSZY?

— Ojciec leży na łóżku i woła na syna leżącego na piecu.

— Wstańno synu i podaj mi wody.

A ten:

— Ojczu, śpijcie cicho!

Młodszy, co spał na ławie.

— Nie proście, ojczu, darmo tego leniucha, ale wstańcie sami, napijcie się i mnie po drodze podajcie.

NIE PÓCIESZYŁ SIĘ.

— Czego płaczesz Karolku?

— Zgubiłem dwadzieścia groszy, buuuu..

— Masz tu pięćdziesiąt i nie płacz więcej!

Buuuuu..

— Dlaczego jeszcze płaczesz?

— Bo miałbym teraz siedemdziesiąt groszy!

SAM SIĘ ZŁAPAL.

Chłop, który zawsze sprzedawał piekarzowi masło, przynosi mu faszczkę masła i mówi, że tam jest 4 klg.

Piekarz na to:

— Ej, muszę ja to masło zważyć, bo mi się jakoś nie wydaje, ażeby tu mogło być całe cztery klg.

Po zważeniu okazuje się, że brakuje ćwierć klg.

— Gospodarzu czy już od dawna mnie tak oszukujecie?

— Nie panie, ja u siebie ciężarków nie mam, ale brałem zawsze pański czterofuntowy chleb i podług niego ważyłem masło!

KTO GŁUPSZY?

Pastucha oskarżono, iż powiedział, że wójt jest głupszy niż wół sąsiada. Pastuch, stanąwszy przed sądem, tak się tłumaczył: wół wlaż raz do ogrodu i dostał ode mnie za to porządnie kijem, a drugi raz ani mu się marzy tam wchodzić; a nasz wójt tyle razy po pijanemu dostał kiję od swej starej, że poszedł do karczmy, a jednak tam ciągle jeszcze łązi.

Wśród ogólnego śmiechu uwolniono go.

PRZY WOJSKU.

— A więc ułan jest w cywilu golarzem?

— Tak jest, panie rotmistrzu!

— Pójdzie pan zatem do kuchni ziemniaki skrobać.



Leokadja Panciewiczowa, jako królowa Elżbieta.

Wkradam się cicho na mroczną i pustą widownię. Gdzieś tam tylko mającą głowy, to nieliczni widzowie generalnej próby: autor, reżyser, dekorator, rekwizytor, garderobiane, kierownik oświetlenia, krawiec — cała zakulisowa ekipa, bez której zgranego, inteligentnego, artystycznego wysiłku żaden spektakl nie mógłby dojść do skutku. Teraz zasiedli w fotelach i krytycznym okiem oceniają każdy szczegół, każdą drobnostkę, każdy efekt światła, czy scenicznej architektury, każdą sprzączkę na rycerskim bucie, każdą kryzę i fałdę na wspaniałej sukni.

— Przestań pan tańczyć tym reflektorem — woła reżyser Borowski, prawdziwy spirytus movens wszystkiego, czuwający, odczuwający i widzący wszystko: refleksy światła i refleksy dykcji, gest aktora i kształt dekoracji, zacinające się szuflady w szafie Marji Stuart i przeskakującą omyłkowo przez parę wierszy tekstu jej garderobiana.

— Pani droga, jeszcze raz, jeszcze raz, da capo! — woła znowu tubalnym głosem.

— Hej! tam w górze opuścić trochę paramet (sufitową zasłonę). Śpijcie, śpijcie, jak do was mówię.

— Szarpnij pan mocno tą szufladą, niech skry pójda.

— Panu Jerzemu trzeba zmienić buty. Wogóle buty, buty, jeden kryminal, wygłancowane jak na tańce na Saskiej Kępie, a nie dwór królowej Elżbiety.

GENERALNA

REPORTAŻ

— Buty, buty, buty! — krzyczy zgodny chór aktorów, jak w greckiej tragedji.

Wybiega z zakulis jakiś mały człowieczek w wyszarzanym, rozpiętym kitlu i, podcinany biczem tego okrzyku, nachyla się od jednej do drugiej dostojnej postaci i patrzy nie w twarze, tylko na buty.

— A dla mnie laskę, ot taką — pokazuje lord Talbot.

— Kapelusz dla sera Barleya.

— Garderobiana, garderobiana. Co jest z tą suknią pani Malickiej, sterczy jak balon Pickarda w stratosferze, poco tyle krochmalu. Gromi i grozi reżyser. Pani Marysia Malicka, dla potwierdzenia, strzepuje ręką po wydętej sukni, aż w kulisach dudni. Rzeczywiście nieznośna, nie do noszenia — i uśmiecha się jednym z tych uśmiechów, którymi ma za chwilę wygrać całą skalę życiowych doświadczeń heroiny tragedji Schillera.

— Prosić wszystkich na scenę!

— Na scenę! Na scenę!

— Na scenę!

Wchodzą.

— Hej tam cicha, za kulisami!

— Zaczynamy! Kurtyna!

Zasłona spada, by za chwilę podnieść się znowu. Wystarczy tej jednej chwili, aby znikły wszystkie kłopotliwe, realistyczne szczegóły. Z chaosu przygotowań, bieganiny, stukotu, krzyżujących się okrzyków, z wahaniami się światła i chwiania dekoracji jeszcze przybijanych i ustawianych z całego tego mrowia prozaicznych szczegółów wyłania się nagle, jak z mętnej toni jeziora, zaczarowane królestwo teatralnej bajki.

To już nie ordynarny reflektor świeci na szachownicę ogromnej, drewnianej kraty, to księżyc opalizuje swą seledynową poświatą straszliwie okratowane okno więzienia Marji Stuart.

Wmurowana głęboko gotycka szafa ulega wytrychom dozorczy tego więzienia, lorda Talbot'a.

Za chwilę błyska w jego rękę kowana, szczerozłota korona, którą oddaje z lekceważeniem pacholкови. Wierna służebnica królowej głośnym krzykiem zakłada protest przeciw grabieży.

Na to wchodzi królowa w czerni, w kolorze żałoby i bólu, który ją całą ogarnia i przenika, lecz pełną godności i majestatu.

— Zabierz z mem przyzwoleniem, coś gwałtem chciał zagrabić — rzuca zdumionemu lordowi.

I tak scena za sceną. W późniejszym losie królowej błyska promień światła, zjawia się młody, płomienny Mortimer, spiskowiec, gotów ją wyrwać z tej kaźni.

Kurtyna spada. Pryska czar. Wracamy znowu do atmosfery zakulisowych przygotowań. Na scenie zamęt. Straszliwa krata okazuje się znowu drewnianą broną, którą na paru sznureczkach windują w górę. Wspaniałe okna i ściany trzęsą się jak osikowe liście. Słychać stuk motoru, scena zaczyna się obracać, pokazując z rozbijającą szczerością „odwrotną stronę me-

PRÓBA...

ZZA KULIS.

dalu". W tejże chwili, z tego wszechobejmującego sklepienia, gdzie tkwi teatralny „Deus ex machina“ spływają kotary, zawieszki i potężne cokoly, zdobne w ogromną tarczę z herbem Anglii. Pośrodku pyszni się wspaniała fotel. W niecałe 3 minuty jesteśmy już w sali tronowej królowej Elżbiety.

Wkraczają aktorzy, próbują wejść i wyjść, wymieniają ukłony, szepczą kwestje, ustalają raz jeszcze sytuację, kreślą linje niezbędnych gestów. Pani Pancewiczowa — królowa Elżbieta, rzuca kilka swych miążdzących spojrzeń i podnosi dumnie a władczo głowę. Jest majestatyczna i wspaniała, pełna uroków monarchini i kobiety. Nad jej czołem wśród złoturudych włosów pali się i gra tęczą brylantowy diadem.

— Ja tej peruki nie przyjmuję, to wronie gniazdo, a nie peruka czcigodnego lorda — woła wtem reżyser. — Ten kostjum jest za monotony! Ożywić go jakimś kolorem! Panie, francuski kostjum musi być barwny, pełen przepychu.

— Panie reżyserze, nie mogę tu klękać, bo cały trykot mi się splami — woła Mortimer Sawan. — Świeżo pomalowana podłoga „puszcza farbę“.

— Jazda! zaczynać. Zaczynać!

I znów przez jakąś dziwną magję znika cały realizm szczegółów i zaczyna się złuda teatru. Mija akt drugi. Pauza. Fotografje. Pan Malarski ze sztabem pomocników ustala sytuację, pozuje puszcza snopy światel z boku, z góry, z dołu, by podkreślić efekt i fotografuje, fotografuje...

Tymczasem pani Marysia Malicka, przepraszam, królowa Marja Malicka — Stuart — zbiega ze sceny i zasiada w fotelu. Sawan-Mortimer, zakochany spiskowiec, siada przy niej. Jest 3 cia pp. Obiad przepadł. Trzeba choć szklankę herbaty.

— Zaraz będzie!

Mija parę minut, bardzo niecierpliwących. Wreszcie zjawia się taca z herbatą i bułeczkami.

— Już przybywa! już przybywa! — intonuje szczerze uradowana królowa Marja i wkłada w to niemniej uczucia, niż w słynny swój monolog „Skrzydła mi u nóg i rąk wyrosły“...

No tak, bo próba generalna nie prędko się jeszcze skończy, a tu trzeba powtórzyć nieraz pewne sceny po dwa razy i trzeba wkładać w nie całą potęgę wyrazu i grać z pasją, siłą i artyzmem, choć na widowni puste fotele i siedzi tylko reżyser, zablakany, wszędobylski dziennikarz i może ktoś tam jeszcze. Trzeba grać o szklance herbaty.

W tej chwili na widowni jest ożywienie. To przerwa. Pani Honorata Leszczyńska gratuluje pięknego i zwartego przekładu p. Stanisławowi Miłaszewskiemu. Podkreśla ogromną dynamikę dramatyczną, która przez to została uzyskana. Reżyser wymienia wciąż jeszcze różne krytyczne uwagi z aktorami i personelem technicznym.

Zasłona unosi się w górę! Jesteśmy na tarasie! W głębi jasne niebo. Wtem wbiega Marja Stuart z uśmiechem, rozradowana, połotnym krokiem sunie przez scenę i szczęśliwa, wolna, prawie wolna cieszy się słoń-



Lester (Leszczyński). Elżbieta (Pancewiczowa), Burley (Burszyński).

cem, przestrzenią, niebem jasnem i drzew zieleńią. Co prawda ta zieleń przesłania mury więzienia, jak ją o tem przestrzega piastunka. Ależ któż słucha zrządzenia starości... Wtem zjawia się lord Talbot, by oznajmić przybycie królowej Elżbiety.

Następuje pełne ogromnej vis dramatica spotkanie dwu królowych. Elżbieta poprostu miążdzy Marję swą bezwzględna wyniosłością. Drażni ją i upokarza każdym słowem. Wgniała w ziemię okrutną, bezlitosną i mściwą pogardą. Triumfuje nad pokonanym wrogiem. Pastwi się nad nim i syci jej uległością. A Marja z przedziwną tkliwością mówi do niej „Siostrzo!“.

Zdaje się przez chwilę, że obie antagonistki pogodzą się. Nagle Elżbieta godzi w najczulsze miejsce ambicji kobiecej Marji. Z szyderstwem rzuca jej w oczy, że przyszedł już kres triumfów jej piękności. W jednej chwili Marja się zmienia. Jakiś szał w nią wstępuje. Bluzga straszliwymi słowami w oczy Elżbiety. Prerażona, spłoszona, zdruzgotana królowa Anglii uchodzi w popłochu.

A ja siedzę w tem zaczarowanym kole, w półmroku sali, która jeszcze dziś zatrząsie się od entuzjastycznych oklasków i myślę o względności rzeczy na świecie i o mizolnym trudzie próby generalnej, bez której nie ma i być nie może triumfu ani na scenie teatru, ani na scenie życia.

J. St. Cz.

ZE SZTUKI

„Zachęta” dała bogatą ilościowo galerję portretów kobiecych pod hasłem „Najpiękniejszy portret kobiety”. Pojęcie najpiękniejszy ma zawierać w sobie zarówno walor estetyczny jak i techniczny. Na wystawie przeważają właściwie portrety młodych kobiet, malowane „z pochlebstwem” i stylizowane tak, by podkreślić urok piękna fizycznego. Jest to właściwie dosyć utylitarne pojęcie „piękności”, ponieważ jednak publiczność ceni sztukę o tyle, o ile schlebia ona jej gustom, więc nic dziwnego, że wystawa ma powodzenie. — Nie będziemy tu wymieniać wszystkich nazwisk. Znane są one skądinąd.

IPS zrobił dobrze, prezentując choć tak niekompletną wystawę sztuki ukraińskiej od malarstwa cechowego, religijnego, począwszy od najnowszych kierunków nielicznie zresztą i mało wydawnie reprezentowanych. Czytelnicy „Rodziny” mają już pewien pogląd na malarstwo ukraińskie na tle naszego specjalnego numeru z roku ubiegłego. Nie będziemy się więc powtarzać. Musimy tu jednak zaznaczyć, że nowsze malarstwo ukraińskie idzie aż do najskrajniejszego nowatorstwa. Rzecz przytem ciekawa, że jednak pewien pierwiastek lokalno-narodowy uwydatnia się mimo to w tych próbach, tchnących paryską nawet manierą.

Z TEATRU

W teatrze Narodowym ujrzeliśmy w tym tygodniu premję „Marji Stuart”, w wolnym przekładzie Stanisława Miłaszewskiego. Praca tłumacza dała nam w szczęśliwym wyniku dzieło napisane wierszem szlachebnym, zwartym, o pełnowartościowej szacie poetyckiej, o dynamicznej polotnej metaforze. Krótkie spięcia dramatyczne, których nie brak w arcydziele Schillera, zyskały na potęgę i sile wyrazu. Scena spotkania Marji z Elżbietą, robi, dzięki potęgę słowa, wstrząsające wprost wrażenie.

Nie ulega wątpliwości, że dramat Schillera zyskał w całej pełni na tem nowem scenicznym wcieleniu. Jego niewątpliwy sukces jest owocem pracy obok kongenjalnego tłumacza, całego zespołu z Marją Malicką w roli tytułowej i Pancewiczową w roli królowej Elżbiety.

Marja Stuart w koncepcji Schillera to grzesznica pokutną czyniąca, upokorzona. Elżbieta to pycha nieugięta, nienasycona. Marja — to serce i uczucie, błędzące przez brak poskromienia, Elżbieta — to oschły rozum i racja stanu pędząca na manowiec przez wyrachowanie i oziębłość. Marja Stuart — to godność ludzka i moralna, Elżbieta — to autokratyczna wyniosłość, Marja to gwałtowność, ale szczerłość, Elżbieta — to układność i podstęp. Między takimi antagonistkami rozegrać się musiał dra-

mat bez widoków na pojednanie i kompromis. Malicka i Pancewicz umiały się każdym gestem, każdym akcentem słowa wczuć w te postaci i wyrazić ich życie wewnętrzne. Gdy się patrzy na konflikt dwu królowych poza antagonizmem stanowisk, temperamentów i ambicji, dostrzega się coś więcej — przeciwstawność atmosfery dwu światopoglądów: katolickiego i protestanckiego. Wbrew temu co mówi Elżbieta o żmii czy gadzinie, która jest „bezpieczna wtedy, gdy zabita”, taką gadziną jest właśnie ona sama, nie zaś Marja i dlatego Marję każe zgładzić, bo sądzi ją wedle swojej miary. Jeśli zwleka, to jedynie dla zachowania pozorów. Przeciwnie Marja, i na jej sumieniu jest krew niecnie przelana, ale ze swych zbrodni i grzechów nauczyła się czegoś, nauczyła się właśnie chrześcijańskiej rezygnacji, pokory i wytrwania. Nie chwytła się pozorów cnoty, lecz naprawdę walczy o wyższy, lepszy ład moralny w sobie. Obca jest jej zatwardziałość w grzechu. Errare humanum est, detestare — diabolicum. To diabolicum odrzuca od siebie precz.

W tej walce o koronę, o władzę rozgrywanej się między dwiema królowymi nie mała też rola przypadku temu, co nazwaćby można ściśle kobiecem. Poza względami najwyższej, ogólnej natury zawsze ukrywa się względem najwrażliwszy, sprawa próżności kobiecej, rozgrywa się tu także walka o palmę pierwszeństwa w piękności. Tej zawiści o piękność nie jest obca Marja, płoną w niej przecież wszystkie ludzkie namiętności, takiej jednak zaciekłości, jaką wkłada w nią Elżbieta, zgoła brak królowej szkockiej. Słusznie więc Marja miała prawo nucić: że pluje jej w twarz tą trucizną, którą zaszczerpiła Elżbieta.

DO ZIEMI ŚWIĘTEJ

Za dawnych czasów pielgrzymka do Ziemi Świętej była niemal że niedoścignym marzeniem pobożnych pątników, rycerzy, szukających przygód i poetów, szukających natchnienia. Nawet monarchowie, którzy uczynili ślub pielgrzymki do Grobu Świętego, długie lata przygotowywali się do takiej niebezpiecznej i trudnej wyprawy, której koszt pochłaniał nieraz pół królestwa. Ludzie ubodzy wędrowali piechotą, narażając się na niezliczone trudy, niebezpieczeństwa, prześladowania, a często i na śmierć męczeńską z ręki pogan.

Taki pielgrzym, który wracał z Ziemi Świętej miał zwykle płaszcz obszyty muszelkami i sakwę pełną pamiątek, uświęconych dotknięciem Grobu Pańskiego i był przyjmowany wszędzie ze czcią, należną mężom świątobliwym.

Przodkowie nasi uważali sobie za największe szczęście doczesne i zasługę wobec nieba — chociaż raz w życiu odbyć podróż do Ziemi Świętej. Książę Radziwiłł, zwany Sierotką, zrazu heretyk i bluźnierca, później cudownie nawrócony, odbył pielgrzymkę do Ziemi Świętej dla przebłagania Boga za swe winy.

A dzisiaj. Od paru miesięcy, odkąd istnieje linja okrętowa polsko-palestyńska, każdy obywatel polski, nawet rozporządzający skromnymi środkami, może sobie pozwolić na podróż do Ziemi Świętej która była niedoścignym marzeniem całych pokoleń.

A w dodatku całą tę podróż morską, począwszy od Constanzy, odbywać będzie na polskim okręcie, z polską załogą, pod komendą polskiego kapitana, w towarzystwie polskich podróżnych, mogących codziennie wysłuchać Mszy świętej, odprawianej na pokładzie przez polskiego księdza.

Jaka różnica z temi warunkami, w jakich jeszcze doniedawna musieli podróżować do Ziemi Świętej polscy pielgrzymi na obcych okrętach, wyczyskiwani niejednokrotnie przez niesumienne obsługę, zdani na łaskę i niełaskę cudzoziemców, wskutek nieznamomości języka.

Dziś, to co dawniej było umartwieniem, stało się radością, dostępną dla wszystkich.



Sniegi i mrozy nawiedziły Palestynę. Jerozolima w śniegu.



NA FALACH CZASU

W rocznicę wstąpienia na Stolicę Piotrową Ojca św. Piusa XI oczy całego świata skierowują się w jego stronę. Zapoznajemy się więc bliżej z warunkami Jego życia.

Już o brzasku widać światła w wychodzących na plac św. Piotra oknach gabinetu papieża w pałacu watykańskim. Oznacza to, że papież rozpoczął pracę. O godz. 5-ej rano odprawia on w swojej prywatnej kaplicy na trzecim piętrze Mszę św., w której uczestniczą tylko członkowie najbliższego otoczenia. Po półgodzinnym nabożeństwie spożywa skromne śniadanie i schodzi do gabinetu na drugim piętrze.

W międzyczasie zaczyna się ruch i w zewnętrznych gmachach watykańskich. Pełniący służbę oficer gwardji szwajcarskiej przynosi klucze, którymi kamerdynerzy otwierają drzwi korytarza łączącego kompleks gmachów z pałacem papieskim. Wkrótce zaczynają się gromadzić osoby, które mają wyznaczone na ten dzień audjencje osobiste u Ojca św. Do godziny 9-ej pracuje Pius XI samotnie, oddając się pracy naukowej lub politycznej.

Pracownią papieża jest wielka sala biblioteczna, w której wszystkie ściany są obstawione szafami, pełnemi książek. Ozdobę artystyczną tej sali stanowi kilka obrazów, kosztowne wazy na złotych konsolach i popiersie papieża Leona XIII. Umeblowanie składa się z kilku staroświeckich foteli z oparciami i z biurka, na którym stoi wielki ciemny krzyż z Chrystusem z kości słoniowej. Obok krzyża znajdują się małe obrazki, przedstawiające

apostołów Piotra i Pawła i świętą Teresę od Dzieciątka Jezus.

O godz. 9-ej wchodzi do gabinetu kardynał stanu Pacelli, pierwszy minister państwa watykańskiego i składa Ojcu św. raport z bieżących zdarzeń. Po nim zjawiają się podsekretarze stanu i szefowie oddziałów watykańskiej służby dyplomatycznej. Konferencje z nimi trwają tak długo, że dygnitarz ustalający audjencje u papieża, nigdy nie wie, czy zgłoszeni goście zostaną w danym dniu przyjęci. Sprawy jednak omawiane z członkami rządu są daleko ważniejsze od prywatnych posłuchań.

Przedpokój gabinetu przedstawia w godzinach przyjęć interesujący widok. Czeka ją tam wybitne osobistości kościelne i cywilne na osobiste posłuchanie. Każdego gościa melduje tajny sekretarz. Pierwsi wchodzi kardynałowie — kierownicy różnych kongregacji, następnie biskupi i praelaci papiescy — aby zdać sprawę z powierzonych sobie misyj. Wreszcie mogą wejść ambasadorowie, posłowie i mężowie stanu obcych państw, wysoko postawieni Włosi i cudzoziemcy.

Pius XI mimo swego podeszłego wieku (77 lat), rozmawia żywo ze swoimi gośćmi i interesuje się wszystkim, co się dzieje na świecie. Udziela się on o wiele bezpośrednio, niż jego poprzednicy, uczony Benedykt XV, łagodny patriarcha Pius X lub filozof i autor dystychów łacińskich Leon XIII. W wielkich salach poza przedpokojem zbierają się pielgrzymi, oczekujący grupowych lub ogólnych audjencji.

Po audjencjach o 14-ej jest obiad. Po-

tem spacer i nowe posłuchania i konferencje aż do nocy.

Tragiczna śmierć króla Belgji była prawdziwą niespodzianką dla świata.

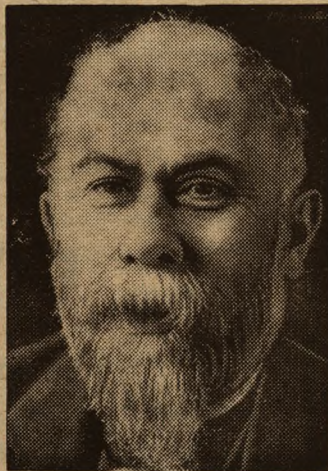
Król Albert był szczerym demokratą. Był to pierwszy obywatel w Ojczyźnie. A chociaż w koronie — tylko obywatel, na każdym kroku dający przykład sumiennych służb publicznych dla kraju, będący najpiękniejszym służb tych wzorem. Niezwykle popularny, kochany przez cały bez wyjątku naród, nawet nie już jako monarcha, ale tylko jako ten właśnie wzorowy obywatel, największym cieszący się wszędzie autorytetem.

Król Albert był przykładnym ojcem i głową rodziny, prawdziwie wierzącym i praktykującym katolikiem. Jego ścisła współpraca z Kościołem szczególnie wielkiego była znaczenia w czasie wojny, kiedy to w podtrzymywaniu na duchu narodu belgijskiego niespożyte położył był za służgi inny mąż Ojczyzny belgijskiej, książę Kościoła, kardynał-żołnierz Mercier. Kardynał Mercier z Krzyżem w dłoni, a bohaterski król na czele armji dziesiątkowanej przez barbarzyńców i najeźdźców germańskich, oto dwie spiżowe postacie, którymi Bóg obdarzył Belgję, ażeby ją ocalić z pożogi wojennej i postawić za wzór innym narodom.

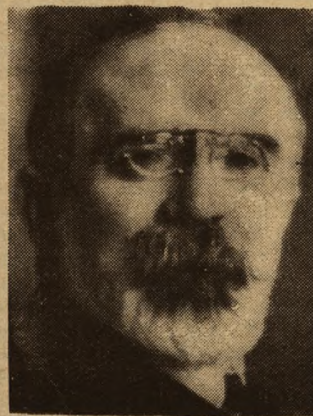
Było coś nadludzkiego, tytanicznego w tej obronie małego narodu przed zalewem barbarzyństwa germańskiego, w tem wielkiem jego umiłowaniu wolności, w gotowości do bezgranicznych poświęceń i ofiary.



GASTON DOUMERGUE
premjer rządu franc.



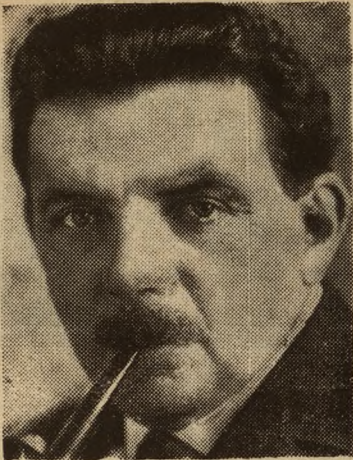
HENRI CHERON
min. sprawiedliwości



LOUIS BARTHOU
min. spraw zagranicznych



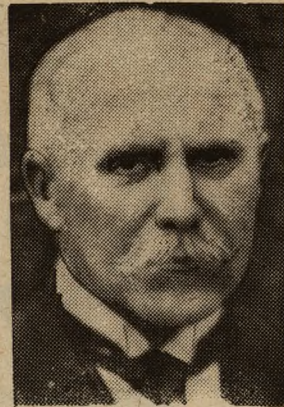
ALBERT SARRAUT
min. spraw wewnętrznych



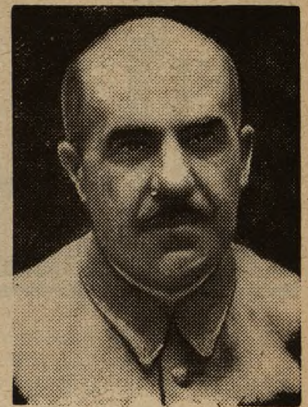
EDWARD HERRIOT
minister bez teki



ANDRÉ TARDIEU
minister bez teki



MARZAŁEK PETAIN
minister obrony narodowej



GEN. DENAIN
minister lotnictwa

Kraj był zalany przez hordy wraże, armja zepchnięta na maleńki skrawek ziemi belgijskiej w t. zw. trójkącie Izery, z którego wielokrotnie silniejszy wróg mógł być zepchnąć ją każdej chwili w morze, i tylko ta właśnie wiara w zwycięstwo, gotowość do przelania ostatniej kropli krwi w obronie umiłowanej Ojczyzny, odniosły pełne w tych zmaganiach zwycięstwo. Bóg słusznej sprawie zapewnił triumf, potęga niemiecka została złamana i — Belgja znowu odzyskała wolność.

Obok Niemiec jest jeszcze jeden kraj w Europie, którego programem jest rewizjonizm. Są to Węgry, okrojone przez traktat w Trianon. Traktat ten uzupełniony jest jak wiadomo przez lettre d'envoi prezydenta Milranda, które mówi o uprawnieniach komisji delimitacyjnej oraz ewent zwrotu Rusi Podkarpackiej. Z tego motywu korzysta jednak dość wyraźnie dyplomacja węgierska i ostatnio osiągnęła parę sukcesów. Mamy tu na myśli pojawienie się książki angielskiej, zawierającej streszczenie wszystkich dyskusyj w Izbie W. Brytanji, dotyczącej Węgier, zbiegło się to z wizytą hr. Bethlena w Londynie oraz niebawem powodzeniem jakim cieszyły się odczyty i zebrania dyskusyjne. Najlepszą miarą tego sukcesu jest fakt, że udało się Bethlenowi uzyskać podpisy dwustu członków Izby gmin na interpelacji w sprawie klauzul terytorjalnych traktatu w Trianon. Interpelacja nie ujrzała zresztą światła dziennego, ale sukces moralny jest i tak duży.

Pierwsze miesiące bieżącego roku przyniosły ciekawy bilans sytuacji politycznej w szeregu krajów. Zaczęło się to od Francji. Afera Stawiskiego, za którego szalbierstwami kryła się lewica socjalistyczna, zmobilizowała przeciw tej mafji ulicę paryską, nastrojoną prawicowo. Gniew ludu przeciw socjalistom, obrońcom ludu — zaiste „widowisko godne bogów” — jak mawiali starożytni. Dla starozakonnych, z których grona wywodził się Stawiski, żyd odeski i jego protektorzy z Blumem na czele — była to przykra lekcja poglądowna, jak niebezpiecznie jest pokazywać drogę do zbrojnej rewolucji. Przyszła rewolucja, tylko à rebours. Rewolucja, która wywróciła socjalistycznych menterów, udających obrońców proletariatu, a robiących na ubożu tłuste interesy, porastających w piórka i dorabiających się w asnych will, a nawet zameczków z herbami, jak Blum.

Inna zupełnie tragikomedja rozegrała się w Austrii. Tam przeciw socjalistom-opozycjonistom wystąpił reżym, i armatami zaczął uczyć ich rozumu. Inna jest rzecz, że socjaliści austriaccy, a zwłaszcza wiedeńscy odpowiadali na to w podobny sposób, bo karabinami maszynowymi, granatami i bombami. W rezultacie połała się krew setek i tysięcy. Socjaliści chwilowo ulegli, a żydowscy ich wodzowie zwiali za granicę. Niektórych schwytano i postawiono przed sąd. Przed trybunałem dożałym stanął komendant straży pożarnej w Floridsdorfie, inż. Weissel. Był on dowódcą oddziału Schutzbundu i zaatakował komisariat policji. Po zdobyciu gmachu straży przez policję został aresztowany i postawiony przed sąd. Pomiedzy oskarżonym, a przewodniczącym wywiązał się dialog następujący:

Przewodniczący: — Wiedział pan o akcji prowadzonej przeciwko rządowi?

Oskarżony: — Oczywiście.

Przew.: — Przyznaje pan, że chciał pan walczyć przeciw rządowi?

Osk.: — Tak jest.

Przew.: — Dlaczego poddaliście się policji?

Osk.: — Bo nas było za mało.

Przew.: — A gdyby was było więcej, czy wtedy poddaliłbyście się?

Osk.: — Ma się rozumieć, że nie.

Weissel został skazany na śmierć. Wyrok wykonany został w kilka godzin po ogłoszeniu.

W rezultacie ta wojna domowa zachwiała prestiżem Austrii i wywołała niebezpieczeństwo interwencji przedewszystkiem hitlerowców, chcących wykorzystać sytuację na korzyść anshlusu. Obawa przed niemi wysuwa możliwość interwencji dyplomatycznej. Za tą formą interwencji zdaje się, sądząc z depez, wypowiedała Francja. Na razie poseł francuski w Wiedniu przygotowuje akcję za wstrzymaniem rozlewu krwi. Oczywiście interwencja taka wypadłaby na korzyść socjalistów, byłaby jednak słaba, bo brak jej wszelkiej egzekutywy; Dollfuss zaś może na nią odpowiedzieć pytaniem, kto go zasłoni, jeśli na widownię wystąpią hitlerowcy. Pozostaje więc jeszcze interwencja militarna, ale na korzyść rządu Dollfussa, jako prawowitego rządu na wypadek gdyby mu się źle powodziło. Za nią opowiadają się Włochy, bo byłaby to właśnie in-

terwencja włoska, mimo, że formalnie działanoby tu z porozumienia wszystkich państw. Trudno jednak przypuścić, aby na ten wypadek Włochy zgodziły się na wpuszczenie do Wiednia Niemców albo Czechów. Weszłyby tam zapewne same.

Na tle tych krwawych bilansów politycznych wysuwa się na czoło fakt likwidacji form czysto demokratycznych rządów. Albo bowiem, jak we Francji, stały się one parawanem dla oszustów, albo, jak w Austrii, dla terrorystów. A przecież ani na jedno, ani na drugie nie może się zgodzić żadne zdrowo myślące społeczeństwo. Toteż reakcją przeciw zwyrodnieniu demokracji są rządy silnej ręki, gotowe zarówno autorytetem władzy jak i siły zbrojnej poskromić szkodników dobra publicznego. Wypadki francuskie i austriackie wyraźnie o tem pouczają.

Nawet socjalistyczne pismo „Victoire” umieszcza głos, skrajnego niegdyś anarchisty, Gustawa Hervégo, który pisze na tle ostatnich skandali we Francji: „Czyż to nie masońska republika zabiła w duszy ludu ideę religijną, bez której niema moralności, bez której w człowieku pozostaje tylko instynkt zwierzęcy i pragnienie grubych przyjemności? Ach, panowie, którzy nami rządzą! Chcecie uzdrowić moralność publiczną. Przyzwijcie więc na pomoc religję, którą prześladowaliście! Pomóżcie przywrócić we Francji twarde, ale niezbędne zasady, oparte na wierze w Boga, Najwyższego Sędziego, które są jedyną trwałą zbroją państw!” Jakże słuszne są owe słowa potępienia tych bezbożnych demokracji, które rozpanoszyły się w Europie i na które spada dziś karzący miecz.

cki.

2-gie wydanie

KRZYŻ PRZECIWI SERCU

Powieść z życia
Królowej Jadwigi

Napisał
JÓZEF ST. CZARNECKI

Stron 176.

Cena zł. 1.50

Dział Kobiety

DLA DUSZY.

Niech człowiek sobie za mało waży to, co wielkiem zdawać się może: lecz w uczuciu prawdy, niech się wynaję sługą nieużytecznym; jako prawda mówi: „Gdy uczynicie wszystko, co wam rozkazano, mówcie: słudzy nieużyteczni jesteśmy.

Wtedy dopiero będzie mógł być prawdziwie ubo-

gim w duchu, i mówić z prorokiem: Sam jeden i ubogi jestem.

A jednak nikt bogatszy, nikt możniejszy, nikt swobodniejszy, jako ten, który najniżej się stawia, wszystkiego się wyrzekł i zaparł sam siebie.

Tomasz à Kempis.

O naśladowaniu Jezusa Chrystusa.

Ś. P. HELENA PADEREWSKA

GŁODNYCH Karmiła — NAGICH ODZIEWAŁA — Bliźnich Kochała.

Będąc dziewczynką, mającą lat może dziesięć, jedenaście — często z matką chodziłam przez Ogród Saski, który jeszcze wtedy nie miał fizjonomji domu przedchodniego — jak to jest dzisiaj.

W zacienionych alejach, na ławkach siadali starsi, z gazetami czy książkami, panie często z robotkami, a dzieciarnia w różnych grupach, bawiła się pod ich okiem ochoczo.

Wtedy, pamiętam, raz, spostrzegłam gromadkę dziewczynek, wśród których jedna była taka śliczna, że na jej widok zawołałam: — Mamo, zatrzymajmy się na chwilę, niech się tej ślicznej dziewczynce napatrzę!

Dziewczynka miała nie więcej nad lat siedem czy osiem. Miała białą sukienkę. Dużą pasterkę, zsuniętą z czoła, z pod której spływały dwa długie, czarne warkocze. Kółko, wyższe od niej, w jednej ręce, w drugiej pałeczkę, która często była w ruchu, niby batuta dyrygenta.

„Ty staniesz tam“ — mówiła, wskazując pałeczką jedną z dziewczynek. „A ty tutaj“. „Ty się ani rusz, dopóki ja ci nie powiem, co masz robić. A ty pilnuj Zosi — bo ona zawsze nie słucha“... i tak dalej. Każda miała jakieś zlecenie, wszystkie były w nią wpatrzone i układał się szpaler z dziewczynek, którego środkiem biegła z kółkiem jedna — do mety, za co, jeśli się powiodło, dostawała — nagrodę. Bo, na ławce najbliższej siedziała starsza dama w żałobie, do której śliczna dziewczynka biegła w podskokach i wracała z garstką pełną karmelków, którymi obdzciała towarzyszeki zabawy.

Starsza dama, jak się później dowiedziałam, to była baronowa Rosen, która po śmierci syna i jego żony, wychowywała śliczną dziewczynkę, swą wnuczkę — sierotkę — małą Helenkę, późniejszą żonę wielkiego Paderewskiego.

* * *

W długie lata potem, dnia 6 stycznia 1919 roku odbieram list:

„Pragnęłabym bardzo widzieć się z panią. Chwila jest paląca i może jedyna w dziejach. I dlatego każdy i każda, którym Bóg wlał w serce choć odrobinę miłości Ojczyzny, do czynu, do pomocy śpieszyć winni. Potrzebuję pani ręki, pani energicznej, wytrwałej pracy

i dlatego proszę o łaskawe zgłoszenie się do mnie, uprzedziwszy telefonicznie o godzinie przybycia. Wiem, że pani przyjdzie, dziękuję zgóry i śle serdeczne pozdrowienia dla obojga państwa“.

Podpisane: Helena Paderewska.

Oczywiście, pierwsza do niej przyszedłam i do ostatnich chwil starałam się być użyteczną w pracy, jaką podjęłam.

Czy to była praca?

Nie. To była nawałnica wysiłku ludzkiej energii. Wścig bez konkurencji w spełnianiu poleceń. Turniej pomysłów. Cfiarność bezprzykładna czasu i sił. Termin wyznaczony i szanowany. Nkt nie liczył, ile czasu na coś trzeba. „To musi być zrobione na tę i na tę godzinę, tego i tego dnia“, a jak się z tem kto upora, to już nie szło w rachubę.

Setki listów odebranych na stole kancelaryjnym.

Setki listów do wysłania z pod maszyn, które stukają literalnie od rana do nocy i od nocy — do rana.

Setki poleceń. Setki próśb i długie szeregi interesantów. W małym stosunkowo mieszkaniu hotelu Bristol jest ciasnota. Wszystko się robi w jakimś wielkim chaosie. Mimo to — robi się.

A mnie staje wtedy przed oczami „mała, śliczna dziewczynka z pałeczką w rękę“.

* * *

„Pamiętajcie, kochane panie, nie oszczędzać mnie. Poto tu jestem, żeby w miarę sił nieść pomoc w nieszczęściu“. A potem: „nie odmawiajcie wsparcia nikomu. Lepiej dać coś dziewięćdziesięciu dziewięciu niesłusznie, aniżeli skrzywdzić jednego sprawiedliwego“.

W Imię Boże! z którym zaczynała każdą pracę, z wiarą w opiekę św. Antoniego, którego misterny posazek stał zawsze przy niej w poszanowaniu, z tego chaosu tworzy instytucję, której daje miano: „Polski Biały Krzyż“, istniejąca do dziś.

„Poza leczeniem ran ciała, co spełnia z samarytańskim poświęceniem „Czerwony Krzyż“, zostają jeszcze na świecie rany duszy, zostają cali i zdrowi, ale odarci z mienia. Zostają wdowy i sieroty. Stare matki, których jedyną opiekę — syna, bierze wojna. Zostają wyizuceni z gniazd, złamani, przerażeni do obłędu. My

się nimi zająć mamy obowiązek" — mówi nam pani Paderewska — zwołując nas całe szeregi do wspólnej pracy.

Ma przeszkody. Zwalcza je. Zwalcza, bo nietylko ma środki materialne. Ma więcej niż pieniądze. Ma żelazną wolę. Co przyrzeka — dotrzymuje. Co postanawia — wykona. Pracy się nie lęka.

Z chwilą powstania „Polskiego Białego Krzyża“, zaczyna napływać dary z Ameryki. Na imię Heleny Paderewskiej przychodzą bezliczne paki.

To już nie setki, nie tysiące.

Polacy z Ameryki — niosą bratnią pomoc w niedoli bliźniej i nadsyłają miljonowe dary.

Gotowa odzież, okrycia, futra nawet. Obuwie. Bielizna, fartuchy, bezliczne sztuki materiałów łokciowych różnego gatunku i przeznaczeń.

Niezliczone ilości mleka kondensowanego, słoniny, cukru, czekolady i słodyczy. Papierosów i tytoniu. Nawet drobiazgi: igły, nici, guziki tuzinami. Papierki listowe i koperty. Mydła. Woreczki dla żołnierzy. I tu już nie wystarcza w dwójnasób powiększone mieszkanie w Bristolu, paki zajmują wielki budynek po monopolu na Pradze, a przy ulicy Miodowej, powstała doskonale zorganizowana hurtownia, w której żołnierz zaopatruje się we wszystko, czego mu potrzeba — za darmo lub za niebywale niską cenę.

Ale dość. Kiedyś, o ile zdążę, chcę napisać obszerniejsze wspomnienie o tej niepospolitej kobiecie, o tej wyjątkowej organizacji i jej pracy. Ciasne ramy kolumny miesięcznika pozwalają mi zaledwie na zanotowanie kilku uogólnień tej bogatej natury, która w codziennym obcowaniu dawała całe szeregi sposobności, świadczących o niewyczerpanych zasobach bogactwa jej duszy.

Jest w Wiedniu. Pisze mi: „Jeszcze stoimy tutaj, w tym mieście dziś zmarłem i pełnem rozpacz. Czekamy na pociąg z Bukaresztu cały dzień, który dotąd nie przybył. Siedzę w wagonie i myślę o pracy naszej i o was. Bóg dozwolił nam żyć w tej tak świętej chwili odbudowy Polski i pozwolił nam, kobietom, także kłaść cegły pod jej fundamenty...”

W tym samym liście: „nagle przypomniałam sobie, że ów żołnierz, który z tak ślicznym listem przysłał mi swą miesięczną pensję w darze (30 marek) nie otrzymał ani podziękowania ode mnie, ani pokwitowania od was. Na miłość Boską niech pani zaraz „cudny“

list napisze i mnie podpisze i niech mu w podarunku wyśle wszystko, co mamy najlepszego“. Tu cała litania, zakończona „papier listowy, ołówki i maszynkę do golenia, jest u mnie w komodzie mydło do niej... Bardzo o to panią proszę“!

Czy potrzebny komentarz?

A inny rys z tysiąca. Odbieram relację: — „Przyjeżdżam z Piaseczna. Prusacy rozwalili nam dom. Siedzieliśmy podczas bitwy w piwnicy. Dziś już, koło komina sklecił mąż jakiś kąt, nakrył go papą. Ale córki z piwnicy wydobyć nie możemy. Zwarjowała“. Mówi mi to osoba w łachmanach, wilgocią przesiąkniętych, szara na twarzy. Opuchnięta z zimna a może i głodu. Nie płacze. „Ja jestem koleżanką z pensji pani prezydentowej, ale proszę niech jej pani o tem nie mówi, bardzo proszę“.

Zdaje relację, co było jednym z moich obowiązków. Stosuję się do prośby nieszczęśliwej. Pani Paderewska sama chce z nią mówić. Wchodzi więc do kancelarii. Patrzy na nią, przygląda się jej coraz baczniej, nareszcie: — Zosiu, przecież ty jesteś moją koleżanką i tenpek łachmanów obejmuje, tuli biedną głowę i ociera jej łzy płynące teraz potokiem po szarej twarzy.

Oczywiście koleżeńską opieką odtąd była otoczona.

* * *

Po długich zmaganiach z cierpieniami fizycznymi, odeszła w zaświaty ś. p. Helena z baronów Rosenów Paderewska.

Kobieta, która w najcięższych chwilach, jakie naród przechodził wśród wojennej zawieruchy, **głodnych karmiła, nagich odziewała, bliźnich — kochała**. Która pracą życia swego ofiarne, bez obrachunku sił, zawsze, w każdym momencie dawała, aby nieść ulgę w cierpieniu, pomoc w niedoli, ratunek w nieszczęściu. I która, ponad wszystko dobro, jakie rozsiewała, miała jeszcze i tę największą zasługę, jako kobieta-żona, że mężowi swemu, tej najszytniejszej duszy, genialnemu człowiekowi i najlepszemu synowi Ojczyzny, Ignacemu Paderewskiemu, umiała dać szczęście.

Wyrazami najgłębszego szacunku i łzami prawdziwego bólu żegnam te drogie mi związane z jej pamięcią wspomnienia.

Lucyna Kotarbińska.

„ŻAŁOBA NA ZEWNĄTRZ CZY WEWNĄTRZ“?

Tem pytaniem zaczyna do nas list jedna z naszych Sz. Czytelniczek, list, w którym porusza dość delikatnej natury sprawę dotyczącą widomych znaków, niewidocznego bólu, popularnie zowiącym się: „noszenie żałoby“, po stracie najbliższych.

Korespondentka nasza między innymi pisze: „I to ma być żałoba? Te oczy podkreślone, usta karminowane, ta czapeczka na bakier, ten niby welon, z nad ucha cienką falą spływający, którym się bez końca manipuluje, aby zasłonić wyciętą suknię i gołą szyję? To ma być żałoba? To ma być oznaka poszanowania pamięci kogoś drogiego — ojca, matki, męża, syna?“

Niechże nam Redakcja, która o sukniach i modzie mówi zawsze z rezerwą, aby do niej zbyt wielkiej nie przywiązywać wagi, a broń Boże, nie czynić na nie nadmiernych wydatków, niech nam zechce powiedzieć, jak się na to zapatruje i jak się to w stolicy ujawnia,

bo może to tylko nasz prowincjonalny punkt widzenia? Tak nam mówi nasza Sz. Korespondentka. A my na to:

Proszę łaskawej Pani, ilu ludzi, tyle różnych usposobień, temperamentów, środowisk, w których się urabiali, tak, że o ile chodzi o uogólnienie jakichś wyroków trudno jest się, bez głębszego ich motywowania — wypowiedzieć.

W zasadzie, ma Sz. Pani zupełną słusność. Przytoczone, a niestety, często spotykane cechy żałobnego stroju, są w zupełnej sprzeczności z tem, co oznaczać mają. Ale, co robić, kiedy nie wszyscy na jedną modłę zrobieni.

Wprawdzie dziś już — na szerokim świecie, w miastach trzy i pięćmilijonowych cały obrządek pogrzebowy się zmienił od dawna. Jeden samochód z paroma osobami najbliższymi, odwozi drogie zwłoki na miejsce wiecznego spoczynku, towarzyszy mu cza-

sem drugi czy trzeci — przyjaciół. U nas, w miarę powiększania się miasta, zaczyna wchodzić w życie ten sam obyczaj. Zwoje krepy maleją, skracają się. Mimo to, najniezawodniej, na całym świecie panuje żałoba serc zranionych rozstaniem się ze swym ukochaniem — bez zmian. Na całym świecie, gdzie tyko bywa człowiek, bywa i żal i tęsknota, zasłaniająca swym kirem słońca blaski — bez zmian. I na całym świecie są i będą tacy, którzy na wyrażenie cierpień wewnętrznych nie znajdują odpowiednika zewnętrznego i tacy, któ-

rzy, omijając nakazy mody, znajdują dostojny wyraz dla swej powierzchowności — także — bez zmian. W każdym razie, wdzięczni Pani jesteśmy, za miły list, świadczący o zaufaniu do naszego sądu, choć dotyczący bolesnych stron życia, mając nadzieję, że zdarzy się sposobność mówienia o szatach weselnych dla tych, którzy będą wstępować na samodzielną drogę — dla tworzenia dni pogodnych, jasnych i budowania szczęścia — na ziemi.

Redakcja.

DO KOBIET POLSKICH

STAŁA, POWSZECHNA I DOBROWOLNA ZBIÓRKA NA FUNDUSZ OBRONY MORZA — zaczęła się od dnia 10 lutego 1934 roku.

Drobnymi darami twórzmy wielkie sumy. Wymaga tego od nas Ojczyzna i zabezpieczenie w niej spokoju — dla twórczej pracy.

Kobiety polskie muszą gorącym sercem objąć zbiórkę na Fundusz Obrony Morza i nie zaniedbać żadnej sposobności, zdobycia groszy na powiększenie zasobów naszej floty.

R.

CO BĘDZIE NAJMODNIEJSZE?

Pomimo trwającej wciąż zimy, musimy przygotować stroje letnie dla starszych i młodszych, zwłaszcza te, które mają być zdobione haftem, a zwłaszcza ludowym. Pisma kobiece krajowe i zagraniczne podają opi-



Kamizelka szczawnicka

fot. Marja Stefkowa.

sy prostolinijnych sukien z płótna zwanego samodziałem, pięknie skrojonych płaszczy i kostjumów, beretów i czapeczek. Suknie takie mają wielkie walory, są bowiem wygodne w noszeniu, miłe dla oka i odporne na wpływy atmosferyczne.

Żar słoneczny odbija się od nich, wiatr i zimno nie przenika, słusznie więc można je nazwać strojem izolacyjnym.

Doskonale wytrzymują pranie i prasowanie, a nade wszystko są tanie, co w obecnych czasach przewyższa inne zalety.

Jakże przyjemnie widzieć na wycieczce w górach lub nad morzem liczne grono wycieczkowiczów w samodzielnym ubraniu.

Uzupełnieniem takiej sukni samodzielną na chłodne wieczory będzie kamizelka góralska z okolic Krościenka lub Szczawnicy.

Podajemy opis takiej kamizelki, stosownej dla młodej osoby. Może ona być uszyta z sukna w kołorach niebieskim, granatowym, białym lub czerwonym, a ozdobiona barwnym haftem, jaki noszą na kamizelkach flisacy i górale w Pieninach. Wyglądają w nich jak barwne kwiaty, rozsiane wśród skał urwistych i nad szumiącym Popradem. Od lat co najmniej 50 wyszywają w tych stronach kamizelki w przeróżne kwiaty i liście, przeplatając wzór gałązką i „smużką“, ząbkami i cekinami.

Dawniej wyszywali barwną wełną w znacznie skromniejsze wzory, obecnie nastąpiła ewolucja w hafcie. Wełnę zastąpiono cieniowanym kordonkiem, lub nawet lacetem. Prócz tego wprowadzono do wyszycia cekiny zwane przez górali „strzepintkami“.

Forma wyszycia jest przeważnie jednakowa; szeroki pas haftu biegnie wokoło brzegu kamizelki, w tyle zaś rozrasta się w olbrzymi, piękny bukiet różnobarwnych kwiatów. Kieszonki z przodu zdobione są również misternie i dodają wdzięku całości. Wyszyć taką kamizelkę nie jest wcale trudno, mając wzór do dyspozycji; komu jednak robota taka wydaje się za mozolną, może nabyć gotową, lub zamówić na własną miarę w Towarzystwie Popierania Przemysłu Ludowego w Warszawie. — Można tam również zamówić do kompletu zgrabne torebki damskie, uszyte nowocześnie, a zdobione takim samym haftem jak kamizelki

Marja Stefkowa.

O CZEM WIEDZIEĆ TRZEBA?

Każdy wiedzieć powinien, że mamy za granicami państwa naszego ośm milionów Polaków, czujących przynależność do narodu. skoro ich policzyć możemy, i że na szkoły dla ich dzieci, powinniśmy nieść pomoc stałą, aby ani jednego z nich nie stracić, a wszystkich, niesieniem im rezultatów naszej pamięci — zobowiązać.

Pp. prezes Jan Dębski, dyr. St. Lenartowicz na zwołanem w tym celu zebraniu obszernie zaznajomili obecnych z ciężkimi warunkami, w jakich jednak Polacy przebywający zdala od Ojczyzny, nie przestają czuć się godnymi synami Polski.

Każdy wiedzieć musi, że szczepienie przeciwbłonicze, chroni dzieci nasze od ciężkiej w następstwa szkarlatyny. Dotychczasowe szczepienia dały doskonałe wyniki, przyczyniając się do spadku liczby zachorzeń na szkarlatynę. Dziesiątki tysięcy szczepionych dzieci, poświadczają notowane statystyki. Każda staranna matka musi o tem pamiętać.

Każdy pamiętać musi, że jest instytucja, która pod hasłem „Dzielmy się”, ogarnia swą opieką tysiące nędzy, wspierając, odżywiając, dając organizację: „śniadank” dla dzieci w szkołach, dzieci, którym rodzice nie są w stanie dać nic — na południe. Najmniejsza ofiara jest dla zarządu „Dzielmy się” cennym darem, bo, z tych małych

datków, splywa wielkie błogosławieństwo na prawdziwą — biedę. Adres: Mochackiego 11 — parter.

Wiedzieć trzeba, że w marcu już należy przesadzać kwiaty doniczkowe i obficie zasilać podlewaniami.

Każdy pamiętać powinien, że wszelkie sprawunki w sklepach chrześcijańskich zakupywać należy.

A już wszyscy musimy wiedzieć i krzewić dookoła ochotę do robienia wycieczek naszymi statkami: „Kościuszko” zawiezie nas w kwietniu do: Portugalji, Maroko, Wypś Kanaryjskich, na Maderę — do Belgji za 650 zł. „Pułaski” w marcu pozwoli nam spędzić wielkanocne święta, wioząc z Gdyni do Kopenhagi i spowrotem: za cenę od 100 zł. „Polonja” zaś aż do Ziemi Świętej, Grecji i Fenicji wieść będzie luźnych pasażerów za 465 zł. — Wszelkie informacje dostać można na Marszałkowskiej 116.

Wiedzieć trzeba, że od nowego roku „kasa chorych” istnieć przestała. Istnieje natomiast: „Zakład ubezpieczenia na wypadek choroby”. Ile będziemy płacili, jakie są prawa i obowiązki, dowiemy się niebawem w odpowiedzi na złożone przez nas deklaracje.

Trzeba wiedzieć, zwłaszcza matkom, których dzieci potrzebują odżywczego powietrza, że pod czujnym okiem kierowniczkii, p. Małkowskiej i jej nieocenionej pomocnicy, p. Marji Fidlerówny, jest harcerska szkoła dla dzieci w Pieninach.

CO ROBIĄ NASZE KOBIETY U NAS?

Liga Kobiet Pokoju i Wolności, ta sama, która na zjazd międzynarodowy w Lipsku zbierała setki i setki tysięcy podpisów, protestujących przeciw wojnie, po przżyciu tych strasznych chwil, jakie niosła wojenna nawałnica od roku 1914, ta sama ideowo grupa kobiet, walczy dziś o zniesienie sądów doraźnych, w wymiarze kar dla przestępców kryminalnych.

„W imię dzieci naszych powinniśmy się domagać zniesienia sądów doraźnych. Atmosfera, którą stwarza ta procedura sądowa jest w najwyższym stopniu szkodliwa dla młodocianych umysłów. Dzieci małe na ulicy zaczynają się bawić w „sądy doraźne”, a dzieciom naszym starszym nie możemy niczem usprawiedliwić wyroków „kary śmierci”, bez wprowadzania zamętu w ich prostolinijne drogi myślenia.

Gdybyż choć — te straszne wyroki przyczyniały się do zmniejszenia przestępczości. Ale, o ile informowali mnie adwokaci, których pytałam, statystyka nie ujawnia żadnych pomyślnych rezultatów, a zbrodniczość nawet się wzmacnia”. — Przemawia tak od stołu prezydjalnego Ligi p. Wanda Kotarbińska, po której głos zabiera adwokatka Wiewiórska i mówi:

„Raz tylko jeden, zastępując chorego kolegę, znalazłam się w grupie sędziów, wydających wyrok doraźny. Raz jeden i ostatni. Bo wyobrazić sobie nie należy, że tym sądom towarzyszy spokój i skupienie normalne. Na sali już odczuwa się jakieś ogólne drżenie, jakiś lęk zbiorowy, które nie omijają sędziów. Wszyscy przestajemy być panami naszych nerwów. A kiedy prokurator po swem przemówieniu, w którym już ze swej roli wzywa sędziów do wydania srogiego wyroku na podsądnego słyszy: **wyrok śmierci** — pochyla się i omdlewa tak, że go cucić musimy. Drugiej takiej chwili przeżywać bym nie chciała, tem więcej, że nie widzę w niczem skuteczności tego systemu”.

Jeszcze zabiera głos doktorka medycyny, która w zasadzie dla wyjątkowych przestępców, recydywistów, zbrojców, nie widzi innego rozwiązania. Trzebaby mieć jakieś olbrzymie szpitale, jakieś zakłady poprawcze specjalne, czego nie mamy, inaczej, jakże uchronić ludzi od skutków nieszczęsnych nałogowców zbrodni. Liga jednak działalność swą w kierunku starań o zniesienie sądów doraźnych uchwała i nadal w tym duchu pracę swą prowadzić będzie. Tem gorliwiej, że już zaczyna ta myśl znajdować poparcie wśród sfer decydujących. W toku bowiem

obrad nad budżetem Ministerstwa Sprawiedliwości sen. Zaczek zapytał obecnego ministra Michałowskiego, czy nie nadszedł już czas, w którym należałoby znieść sądy doraźne. W odpowiedzi p. min. Michałowski oświadczył, że zamierza w radzie ministrów zgłosić wniosek o zniesienie sądów doraźnych, od których decyzji to wyłącznie zależne. Miejmy więc nadzieję, że to się stanie.

Związek Pań Domu w Warszawie postanowił zwrócić się do wszystkich pań domu z wezwaniem, aby przy opłatach ubezpieczeniowych za służbę domową płaciły tylko tę część składki, która obowiązuje pracodawców. Część składki, którą płacić mają ubezpieczeni, powinna być potrącana służbie domowej. Zamożniejsze panie domu, które chcą służbie domowej okazać szczególne względy, mogą to uczynić w innej formie i przy innej okazji, a nie przy opłacie składek ubezpieczeniowych.

Związek Pań Domu postanowił nadto zwrócić się do władz ubezpieczalni, aby w nakazach płatniczych na składki ubezpieczeniowe od służby domowej było wyraźnie zaznaczone, jaka kwota opłaty przypada na pracodawcę, jaka zaś na służbę domową. Rozgraniczenie tych opłat w nakazach płatniczych uważają panie domu za konieczne, aby uniknąć konfliktów ze służbą na temat rozrachunków w opłatach ubezpieczeniowych.

Akcja Pań Domu, wzywająca wszystkie panie do solidarności w kwestji opłat ubezpieczeniowych ze służbą domową, wywołana jest obawą, iż służące porzucać będą pracę w domach, w których potrącanie im będą przypadające na nie składki ubezpieczeniowe.

Kwestja zryczałtowania opłat za służbę domową doznała znowu nieoczekiwanego zwrotu wskutek protestu izby ubezpieczeń społecznych. Na wniosek izby sprawa opłat ryczałtowych skierowana jest ponownie do Ministerstwa Opieki Społecznej.

DOBRE CZYNY

Dom pp. Karolostwa Sachsów, w kuchni własnej dożywia 200 dzieci najbiedniejszych ze szkół powszechnych. Niezwykła oferność czciogodnych obywateli budzi dla Nich wielki szacunek i wielką wdzięczność.

Instytucje prywatne dożywiają 450 dzieci.

Formacje Wojskowe wydają 400 porcyj zup

Piękna ofiarność godna naśladowania.

ZWIĄZEK PAŃ DOMU WE LWOWIE

Z radością powtarzamy za „Kurjerem Warszawskim” sprawozdanie z poświęcenia nowej siedziby tego Związku, który dziś uważamy za jeden z najważniejszych, bo prowadzony z myślą postawienia domu rodzinnego na silnych fundamentach:

„Odbyło się uroczyste poświęcenie nowej siedziby lwowskiego oddziału Związku pań domu, przy ul. Akademickiej 21, z udziałem duchowieństwa, reprezentantów organizacji społecznych, szkolnictwa zawodowego i prasy. Licznie zebrały się niezrzeszone dotychczas lwowskie panie domu i tłumnie wstępowały w szeregi członkiń.

Lwowski oddział Związku pań domu, założony w roku 1931, z każdym rokiem rozszerza zakres działania, w myśl swych postulatów, które mówią o podniesieniu poziomu życia rodziny przez gospodarce i ekonomiczne uświadomienie kobiet.

Działalność Związku obejmuje zebrania dyskusyjne i odczyty z dziedziny społecznej i gospodarczej, kursy i pokazy gospodarstwa domowego, które mają wielkie powodzenie wśród początkujących pań domu i pań pracujących zawodowo, a znajdujących dalsze możliwości wykształcenia fachowego w czytelni Związku. Wspólne wycieczki do fabryk, do szkół zawodowych, firm handlowych i miejskich zakładów użyteczności publicznej — wreszcie kartoteki informacyjne Związku uzupełniają jego działalność gospodarczo-oświatową.

Pięknie rozwija się również dział samopomocy Związku, który prowadzi kilka poradni praktycznych dla członkiń: poradnię gospodarczą, mieszkaniową, krawiecką, robót ręcznych i kosmetyczną. Akcja spółdzielcza polega

na wspólnym zakupywaniu artykułów gospodarstwa domowego i uzyskiwaniu zniżek w firmach handlowych. Stała „wzorownia” sprzętów domowych w lokalu Związku propaguje i udostępnia najnowsze sprzęty i udoskonalenia techniczne w gospodarstwie domowym.

W celach propagandy postępu i zapoznania niezrzeszonych pań domu z pracami Z. P. D. oraz informowania przemysłu i kupiectwa o wymaganiach tego Związku — oddział urządził wystawę. Stoiska Z. P. D., organizowane corocznie w ramach Targów Wschodnich, zdołały zyskać dużą popularność.

Podjęcie tej akcji — podobnie jak świadome ustosunkowanie się do kwestji ubezpieczenia gospodarczego w jego nowej postaci odnośnie do pracownic — podkreślamy jako wysoce dodatnie i racjonalne. Zarządowi Związku, z paniami Marią Bartłową, małżonką byłego premiera dra. Kazimierza Bartła, oraz p. Heleną Grucową na czele należy się pełne uznanie za sprężystość organizacji i owocną pracę w kierunku podniesienia stanowiska kobiety na jej placówce bezimiennej, lecz dla społeczeństwa najważniejszej: na placówce w domu i rodzinie. W.

W 550-TĄ ROCZNICĘ KORONACJI KRÓLOWEJ JADWIGI W TEATRZE PRZY UL. KREDYTOWEJ № 14 DN. 4 MARCA O GODZ. 8 M. 15 ODBĘDZIE SIĘ PRZEDSTAWIENIE SZTUKI „APOSTOLKA WIARY — KRÓLOWA JADWIGA”. — BILETY W CENIE OD 49 GR. DO 3 ZŁ.

ODPOWIEDZI REDAKCJI

P. Marji L. Za miły list, pełen pochlebnych słów, z powodu naszego artykułu, zamieszczonego w ostatnim numerze „Rodziny Polskiej” p. t. „Dzielimy się” serdecznie Pani dziękujemy. Instytucja, prowadzona trudem ofiarnym kilku osób z niestrudzoną kierowniczką honorową p. Antoniną Leśniewską na czele, istotnie dokazuje cudów, bo istnieje tylko dobrą wolą szlachetnych serc ludzkich. Jesteśmy szczęśliwi, że kilka „śniadanek” dla biednych dzieci przybędzie z rąk sz. Pani. Informacji, które pragnie Pani mieć najlepiej zasięgnąć u źródła, przy ul. Mochackiego 11. parter. Telefon 8-72-24.

Pannie Zosi — „dobrej gospodyni” w Warszawie. Słusznie zupełnie Pani twierdzi, że rozumna oszczędność musi chodzić w parze z wiedzą i że dlatego pragnie Pani przejść wszystkie kursy gospodarcze, aby oszczędzając „nie zamorzyć głodem” otoczenia. Wszystkie w tym kierunku rady da Pani „Związek Pań Domu”, Nowy-Swiat 9. Będą i rozumne i praktyczne i niezawodne w przystosowaniu.

Matce z Lucka. I „Mały Apostoł” i „Królowa Apostołów” już wyszły. I sądzimy, że list sz. Pani, zminął się z wysłaną pocztą. Nr. Nr. 2, na luty naszych wydawnictw są bardzo starannie i zajmujące, nie też dziwnego, że sz. Pani się o nie tak niecierpliwie dopomina. Staramy się, aby wychodziły regularnie, bo wiemy, że Czytelniczki czekać nie lubią.

P. Wandzie z Ciecchanowa. Czystość, czystość i jeszcze raz czystość, to jedyny środek zapobiegawczy na wszelkie epidemie. W Warszawie pojawiły się choroby zakaźne, bo wielkie zbiorowiska ludzkie, zwłaszcza w połączeniu z wielką biedą są doskonałym terenem dla ich rozszerzania się. Ale, mając „własny domek” jak mi to Pani pisze, można, trzeba i należy czystość doprowadzić do zenitu. Szorować, myć, wietrzyć. Jak się tylko słońce pokaże, bielić. W żadnym zakątku nie zostawiać składów rupieci. Dzieci także myć od stóp do głów. Kazać im usta płukać a ręce myć i przed jedzeniem i po każdym jedzeniu. Dbać o zmianę bielizny. Pościel trzepać, a Bóg ustrzeże od słusznej zresztą trwogi — przed „epidemją”. Tymczasem dla całej licznej gromadki rodziny sz. Pani posyłamy życzenia zdrowia i pogody.

P. L. M. z Łodzi. Oczywiście bez porady lekarza nie radzilibyśmy zmieniać radykalnie systemu odżywiania, zwłaszcza jeśli jest silna anemja. Ale, naogół, odżywianie jarskie, wydaje nam się zbawienne dla artretyków. Tem więcej, że pożywność jarzyn, jest już dziś przez naukę stwierdzona, i że z doświadczenia czerpiąc te uwagi, możemy ręczyć, że jarska kuchnia nie odbiera, ani sił ani humoru, ani nie zmniejsza

werwy życiowej. Dziś, w Warszawie, mamy już jadłodajnie jarskie, bardzo uczęszczane. Tem skwapliwiej, że jednak system życia jarski — jest o wiele tańszy.

P. Izie N. w Warszawie. Owszem jest taka szkoła, która ma w swym programie specjalny kurs *umuzycznienia* miłośników zespołów chóralskich i dział dla dzieci od lat 7-miu. Jest to Szkoła Muzyczna im. M. Karłowicza, Złota 40. Tam zechce się sz. Pani zwrócić o szczegółowe informacje.

Pannie Wandzie Nar. z Łowicza. Głęboki myśliciel, i znakomity poeta Jan Lemański, zmarły, niestety, przed paru miesiącami, w jednym ze swoich pięknych i podniosłych myślań wierszy, właśnie, na poruszony przez Panią temat, pisze:

*Gdybym był królem, mojabym władza
Byłaby taka, moi poddani,
Która nie ścisła postronkiem krtant,
Która ze świata za bund nie zgladza.*

*Byłoby szczęście w mem państwie bogiem
W którym więzienie stoi odlogiem,
Gdzie zardzewiały miecz leży w kaźni,
Gdzie szafot zmurszał najniepokażniej,
Gdzieby nieznamo obywatela
Któryby płakał, chyba — z wesela.*

Byłoby to cudownie, żeby nie było ani więzień, ani ciężkich robót a już nigdy kary śmierci. Ale, na to trzeba jednego warunku — żeby nie było — zbrodni. Wierzmy, że wcześniej czy później, ludzkość ją wypłeni z życia. Co daj Boże. Amen.

„Zrozpaczonej” w Mińsku. Nie można, sz. Pani, „rozpaczać, jeśli jeszcze jest zdrowie i możność kochania czegoś czy kogoś. Oczywiście, „bezrobocie” jest straszną kleską. Strasznie jest również nie móc pokryć kosztów nauki dzieci, ale — serca ludzkie są wrażliwe, składki na wpisy płyną, i na prowincji niezawodnie są pomocnicze komitety. Trzeba wierzyć, że te braki są chwilowe, że życie ureguluje te niedobory i pamiętać o tem, co mówi Pismo św., że: „Lepszy jest ubogi, chodzący w prostocie swej, aniżeli bogaty w drogach przewrotnych”. A rozpacz bywa złym doradcą, którego się strzec należy.

P. W. M. w Żyrardowie. Zupełnie słuszne Pani uwagi. Zamieszczamy w bieżącym numerze. Już Kochanowski w swoich „Fraszkach” pisał: Po sukni znam żalobę, znam i po podwie, Kasiu! to nie żaloba — ubielone lice.

KŁOPOTY SKRZATÓW.

Okropny miały kłopot skrzaty polne i leśne, bo to zima jeszcze ostatnimi podmuchami mrozi ziemię, śnieg biały leży wokół, a tu wszystkie kwiatki z pod ziemi chcą wychodzić i stroić ją na przyjęcie wiosny. Jeszcze przylaszczkom, sasankom, zawilcom, a nawet podbiałowi dało się jako tako wytłumaczyć, by spały spokojnie, ale najgorzej było z krokusami i śniegułkami, nie chciały słuchać żadnych perswazyj. — Nie chcemy się spóźnić na przyjęcie wiosny — my ją pierwsze w górach wśród białych śniegów barwą żywą naszego fioletu witamy — upierały się krokusy. — A ja się mrozu nie boję, bo jestem tak biała jak śnieg to mnie nie dostrzeże — dowodziła śniegułka — a muszę pierwsza dzwonić na przyjęcie wiosny. — Jak powychodźcie, to zbudzą mi się motyle, powylatują na świat Boży zawczasie i pomarzną — lamentował Pawie Oczko, skrzat pilnujący motyli — przecież im jeszcze skrzydeł nie pomalowałem, dopiero farby rozrabiam... Skrzaty swoje, a kwiatki swoje. Aż nareszcie Bystroszek, żywy i wesoly skrzat zawołał: — ja wam coś zaproponuję! Pójdę wyjrzyć na świat, jak tam wygląda i zdać sprawę, ale musicie mi przedtem obiecać, że będziecie, aż do mego powrotu siedzieć cicho i grzecznie! — Zgoda! — krzyknęły kwiatki chórem. Więc Bystroszek wziął w rękę łaskę wiśniową, włożył mysi kozuszek, a na głowę kołpak z łusek szyszki, przybrany błękitnym piórkiem sikorki i tak wystrojony, w butach z wężiej skóry powędrował na ziemię krecim korytarzem.

Ledwo wysunął głowę nad kretowinę, a tu mróz jak go w nos nie uszczyplnie, aż poczerwieniał mu koniuszek nosa i lży się w oczach zakręciły. Skulił się i trąc zmarznąętą twarz rozmyślał... może i nie warto chodzić daleko, tylko zawrócić do domu, takie mroźne powitanie już wystarczy! Wstyd być takim tchórzem — zgromił się po chwili — a może to właśnie już ostatnie wyśiłki mrozu? Wczesny ranek to i przymrozki długo się trzymają — i śmiało wyszedłszy na świat Boży, rozejrzał się wokół. Śnieg leżał na polach ale już nie tak biały, jakiś przezroczystszy, widać go słońce przytapiało w południe, a tylko nocne przymrozki utrzymywały w nim siłę. Podpierając się wiśniową łaską powędrował śmiało przez pola. Słońce podnosiło się coraz wyżej i coraz przygrzewało mocniej, roztapiając zmarznąętą ziemię. Na drodze Bystroszka pojawiały się małe kałuże, zwiększając się coraz bardziej od wody ściekającej bródzami. Ojej — jęknął skrzacik — jeszcze się utopię! — Wyskoczył na kamyk, który sterczał jak samotna skała wśród coraz szerzej i szerzej rozlewającej się wody i rozglądał rozpacźnie dokoła. Naprzeciwko stała chata, otoczona płotem, zawieszonym gęsto pierzynami, poduszkami i różnobarwnem odzieniem. Spod tego płotu oderwała się jakaś mała figurka, wlokąc coś za sobą i nagle usłyszał Bystroszek głośny plusk i rozbryzgująca się woda zalała mu oczy. — A to znowu co? — krzyknął zirytowany, obcierając mokrą twarz. Spojrzał u nóg jego o kamień oparta leżała długa deseczka — drugim końcem wspierając się na ziemi tworzyła wygodny mostek nad kałużą. Na końcu tego mostka stał wesoly uśmiechnięty skrzat w białej sukmanie i czerwonej krakusie i kiwał

uprzejmie ręką w stronę Bystroszka, zachęcając go do przejścia. Przebiegł szybko nasz skrzacik po tej zaimprowizowanej kładce i stanął trochę zadyszany na ziemi. — Przepraszam cię bardzo kumie — za tę mimowolną kąpiel, ale deska ciężka i trudno było mi wymierzyć, żeby się o kamień oparła — przemówił nieznamomy — z ubrania widzę, żeś kumciu skrzacik polny albo i leśny, musi wiosna już blisko, skoro cię na ziemię wywabiło? — Oj! Właśnie ta wiosna!... — westchnął Bystroszek — ale nim ci mój kłopot wyłożę, pozwól, że się przedstawię: jestem Bystroszek skrzat pilnujący gniazd ptasich... a z waćpana stroju sądząc, mam do czynienia ze skrzatem domowym! — Zgadłeś mości panie — odpowie nieznamomy, krakuskę zdjął, pięknie się skłonił, a potem w pas się związwszy tak się przedstawił: — jestem Maciejaszek, skrzat domowy chaty tej i obejścia całego z dziada pradziada przez mych gospodarzy dzierzzonego i z ojca na syna przechodzącego, a że skrzętni, uczciwi i miłośni, więc Bóg im błogosławi a skrzat chętnie dobytku strzeże. Ot i teraz: gospodyni chatę bieli a ja jej pierzyn i kiecek pilnuję przed szkodą. Ale cóż tu waćpana sprowadza? — zapytał ciekawie, gdy już wzajemnej grzeczności stało się zadość. — Ah! Kumciu miły! — westchnął Bystroszek i szeroko opowiedział o swych kłopotach — sam nie wiem co myśleć — zakończył — bo słońko grzeje mocno — więc chyba idzie wiosna, a znów śnieg leży, mróz rankiem szczypie, więc chyba jeszcze zima! Poradz przyjacielu!

Rozejrzał się Maciejaszek po świecie, czapkę w tył głowy zsunął i tak zagada: Moja gospodyni chatę bieli, kiecki wietrzy, to już chyba ku wiosnie idzie; ale jaskółek jeszcze niema, bocianie gniazdo puste — to jeszcze zima. Ale święto Zwiastowania blisko... a wiadomo, że: „Na Zwiastowanie przybywaj bocianie”. „Na Zwiastowanie jaskółki przylatują, serca ludzkie radują” — to chyba już wiosna będzie i można kwiatki puścić. Tylko „jak się bocian pośpieszy a na świętego Józwę przyleci, to przyniesie na skrzydłach resztę śnieżnej zamieci” — to może być jeszcze zimno! — Zafrasował się Bystroszek, bo z odpowiedzi kuma tyle samo wiedział co przed tem. Widząc zatrąpioną minę gościa, uśmiechnął się Maciejaszek i powiedział: — Nie bardzo ja jeszcze wiem co i jak, bom dotąd w izbie za kominem siedział, dopiero dziś na słońcu grzeję stare kości. Ale coś ci poradzę. Siądźże tu koło mnie i posłuchamy czy skowronek już śpiewa. Toć pierwszy zwiastun wiosny, wszak mówi przysłowie: „na świętego Kazimierza wyjdzie skowronek z pod perza”. Siadły skrzaty i cicho, cichutko słuchały czy nie doleci ich pieśń skowronkowa. Zawiewał ciepły wietrzyk, pachniała mokra ziemia, coś tam świergotało w przestworzach, aż nagle z ciepłym podmuchaem wiatru przyleciała do uszu skrzatów dźwięczna pieśń skowronka — Bózego dzwonka, śpiewaka Matki Boskiej. Popatrzili na siebie, uściśnęli się za ręce — wiosna idzie! — Nie zwlekając z dobrą nowiną, pośpieszył Bystroszek do swoich.

A gdy przyszła wiosna dzwoniły na jej powitanie białe śniegułki a fiołkowe krokusy i żółte kwiaty podbiałowy stały się jej pod stopy. H. Rostafińska-Choynowska.

M A R Z E C

*Jeszcze śnieżek prószy
Białemi płatkami,
Jeszcze zima straszny
Mroźnemi wichrami,*

*Ale już słońeczko
Wesoło się śmieje;
Ze przyjdzie wiosenka
Nim się kto spodzieje,*

*Wypędzi precz zimę
Za góry za lasy,
Rozraduje oczy
Pełnią swojej krasy.*

H. R. Ch.



ROZRYWKI I UMYŚLOWE



POD KIEROWNICTWEM WARSZAWSKIEGO KLUBU SZARADZISTÓW.

I KONKURS KWARTALNY.

(Zakończenie)

Termin nadsyłania rozwiązań zadań trzytygodniowy, licząc od daty otrzymania numeru.

O ile kto z uczestników z jakichkolwiek przeszkód, nie mógł nadesłać rozwiązań z nrów styczniowego i lutowego, może to jeszcze uczynić obecnie, nadsyłając rozwiązania z całego kwartału bieżącego, w terminie wyżej podanym.

7. SZARADA (3 pkt.)

Trzeci-pierwszego oraz trzeciego ludzie troskliwie w „domku” trzymają, — był miał wygodę, dbają o niego i trzeci-pierwszy jeść mu podają. „Druga i trzecia” przechodzi czeka, na wieść nie miała lub czegoś złego. Cała zaś zimy ledwie doczeka, by w pełni użyć sportu białego: Ciągną gonitwą po skrzącym śniegu śmiało się z wiatrem chwytając w zawody, lub dla odmiany w szalonym biegu przeży się w skoku... Ha!... precz przeskoczy!

Fr. Semenowicz.

ELIMINATKA (4 pkt.)



W kratki figury należy wpisać pozmolo 13 wyrazów 3-literowych o podanym znaczeniu. Gdy następnie wykreślimy z tych wyrazów litery wchodzące w skład wyrazu oznaczającego narzędzie do otwierania zamków, otrzymamy z pozostałych liter rozwiązanie, które podać można bez wyrazów pomocniczych.

Znaczenia wyrazów: 1: Ang. imię m. zdr. (Wilhelm). 2: Dera. 3: Kompozytor czeski. 4: Lekarstwo. 5: Zero. 6: „Jedna” w jęz. franc. 7: Miasto we Węgrzech. 8: Zbiorowisko drzew. 9: Aljaż cyn. do spajania metali. 10: Ptak domowy. 11: Pukiel włosów. 12: Ciężar ład. na konia lub wlebląda. 13: Pierwiastek chem.

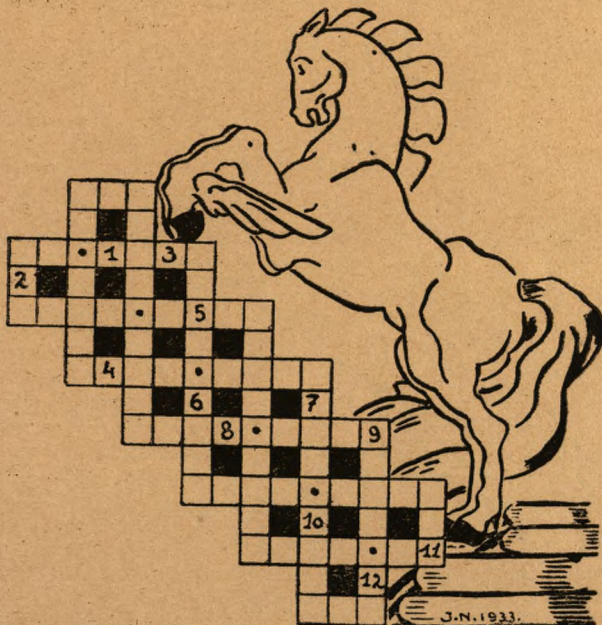
L. Jasiński czł. Kl. Sz.

WIROWKA (4 pkt.)

Litery nazwisk: Angelico, Eminescu, Rogowski, Sikorski, Skrajbin, Sabatier, Growland, Awicenna, Ferriere, Zablocki,

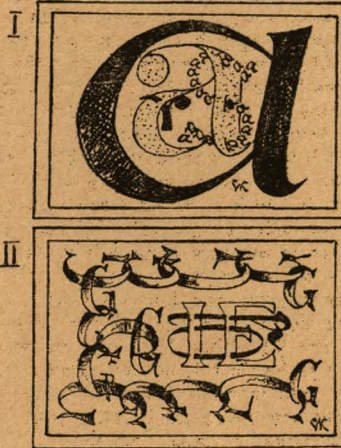
Suderman, Kielland. — należy w kratkach figury wirowo ułożyć tak, aby kratki oznaczone punktami daty rozwiązanie.

„Spart”



REBUSIKI (4 pkt.)

Należy odgadnąć poniższe dwa rebusiki jednowyrazowe.



Cz. Kaczyńska czł. Kl. Sz.

ZAGADKI (2 pkt.)

- I. Włącz do szajki na jej czele żonę Abrahama, — jaki taniec będzie z tego, powie nazwa sama.
- II. Kiedy członek Izby Lordów wszczynia płacz i narzekanie, to z zjawiska tego zaraz nazwa Izby tej powstanie.

A. Mieczkowski czł. Kl. Sz.

SZARADKA (3 pkt.)

Trzeci-pierwszy — to zła wada, koń czasami ją posiada. Zeńskie imię drugie-trzecie, tak zdrobniale brzmi, jak wiecie. Pierwszy — jako słowo samo — bywa czasem niezłą tamą. Wszystko razem — ot piaszczyzna, — Ziemia różna, nawet żyzna.

B. Domański.

SZARADA-APEL (4 pkt.)

Kto Ty jesteś? Szaradzysta. Jaki znak Twój? Oczywiście nie wiesz wcale. A dlaczego? Boś nie spełnił najpierwszego szaradzisty przykazania, co Cię woła do zbratania. A więc moje czwór-pięć-szoste nie może być słowo puste, musi trafić do każdego szaradzisty lojalnego.

— Wiedz, że mamy KLUB w stolicy — (przy Żórawiej jest ulicy, numer domu czterdzieści pięć, zamieszkania numer dziesięć).

Moja druga-trzecia zatem: jeśli chcesz być naszym bratem, jeśli raz-dwa nudzi dola, do rozrywki dużo pola „Szaradzystów” da Ci „KLUB”. Zatem pierwszy krok już rób: Na pocztówce pisz nazwisko, zapłać składkę — ot i wszystko! Piąta-trzecia nie wyniknie, gdy z Tej kasy nawet zniknie pół złotego li miesiącnie.

...Zaczynajcie! Ale zrećnie!

Mojej czwartej-szóstej wierzę, że się spora garstka zbierze.

Mich. Wysocka h. czł. Kl. Sz.

LISTA UCZESTNIKÓW I NAGRODY IV KONKURSU KWARTALNEGO 1938.

(Przy nazwiskach podane cyfry oznaczają ilość uzyskanych punktów za rozwiązanie.)

„Argus” Warszawa 49, „Andrus z nad Wisły” 30, Bakoński W. Sulejówec 15, Czepiel K. Warszawa 49, Denasiewicz K. Drohobycz 49, Doboszański N. 34, Durkal J. Warszawa 19, „Erika” Warszawa 49, Herbstmanówna D. Warszawa 49, „Izda” Warszawa 49, Ikaniewicz B. Grąjowo 17, Jodłówna S. Wilno 49, „Jur i Hala” kresy 49, Klimczak R. Warszawa 49, Klimczakowa I. Warszawa 49, Kowalewski W. Bydgoszcz (rysunk.) 13, Kowalska J. Warszawa 49, Kowalski B. Warszawa 35, Kozłowska H. Warszawa 49, Kozłowski K. Warszawa (rysunk.) 49, Krzyżanowski N. Porzecze 27, Leitner A. 17, „Lilla”, Warszawa 49, Lilpop K. Warszawa 49, Lorekówna J. Lwów 24, Lopatto J. Warszawa 49, „Maryśka z Pohulanki” 49, Maszyński H. Poznań 30, inż. Modrzejewski J. Lublin 49, Mokrzycka H. Drohobycz 49, Nubert A. Warszawa 49, Nagalska L. Warszawa rysunk. 41, Nowiccy Braća Warszawa 49, Drowa Opiełńska H. Środa 49, Ochs N. Tarnopol 19, Pankiewicz W. N. Miasto 49, Pokorny L. Warszawa 49, „Q. P.” Wilno 49, Reiss J. Złoczów 49, Rzeszot L. Warszawa 27, Senze I. Zychlin 40, Sipowiczówna M. Luniniec 49, Stawnicki T. Królewsczyzna 49, Sokołowska St. Zaleszczyki 29, Strubliówna M. Warszawa 49, Surma J. Białystok 40, Świechowski M. Przedm. Bliźsze 15, Tietz Z. Warszawa 49, Turek G. Warszawa 41, Ubiegło S. Warszawa 29, Urbanek Fr. Król. Huta 29, Waksmundzka M. Jasło 29, Warszałowa J. Lwów 29, Wysocka M. Warszawa 49, Zalewski M. Warszawa 49, Zielińska T. Warszawa 41.

Zgodnie z warunkami konkursu przypadły w drodze losowania, następującym osobom — książkowe

nagrody kwartalne:

p. Pokorny L. Warszawa
p. Sokołowska St. Zaleszczyki
p. Czepiel K. Warszawa:

nagrody miesięczne:

p. Nagalska L. Warszawa
p. Waksmundzka M. Jasło;

nagroda pocieszenia:

p. Świechowski M. Przedmieście Bl.;

nagroda autorska:

p. „Spart” (Nieć Jan) Sanok.
Nagrody dla miejscowych są do odebrania w Klubie Szaradzystów (Żórawia 45 m. 10), zamiejscowym odesłane zostaną pocztą w dniach najbliższych.

SKRZYŃKA POCZTOWA

PP. Szaradzystów-Autorów prosimy o nadsyłanie zadań pomysłowych i możliwie aktualnych, — jak również dla numeru kwietniowego aprilusowych, wesolych i do-wcipnych do dnia 15. III br.

ROZRYWKĘ DLA ROZRYWKI.

znajdziesz prawdziwą w „ROZRYWCE”, której numer 3 (15) marcowy opuścił już prasę. Prenumerata kwartalna tylko 2 zł. Konto PKO. nr. 2048. Adres: Klub Szaradzystów, Warszawa, Żórawia 45 m. 10. Pojedyncze numery do nabycia także w kioskach „RUCHU”. Żądajcie bezpłatnych numerów okazowych!

HUMANISTYCZNA ROLA TECHNIKI RADJOWEJ.

Na usługach kultury i nauki.

Skończyły się na szczęście ostre przeciwieństwa między ludźmi wykształconymi humanistycznie, a tymi, którzy przygotowywali się do zawodów technicznych. Jeszcze niedawno przeciwieństwa te były bardzo ostre. Humanisci, powołując się na stare tradycje, kiedy właśnie oni budowali podstawy kultury europejskiej, z przesądą, a może nawet z pewną zawiścią, patrzyli na coraz bardziej wzrastającą rolę techniki i techników. Wraz z mnożącą się liczbą odkryć i z coraz większym ułatwianiem życia przez wynalazki — znaczenie humanistów kurczyło się w opinii ogółu. Podejrzewano ich o bezpłodne marzycielstwo, o bezproduktywne zasklepienie się w dziedzinie wartości umysłowych, które przecież — w konfrontacji z natychmiastowymi rezultatami pracy techników — wydawały się mniej celowe i mniej pożyteczne.

Błąd w rozumowaniu polegał tylko na skrajnym sformułowaniu sądu. Jeśli technika ułatwia życie — to humanistyka podnosi jego wartość. I tylko we współdziałaniu tych odmiennych typów wykształcenia i tych odmiennych światopoglądów leży przyszłość kultury.

Upowszechnianie kultury.

Przykładem dziedziny, w której właśnie współdziałanie techników i humanistów daje dopiero pożądane rezultaty, jest radio. Nowa wielka epoka, która w dziedzinie kultury została zapoczątkowana tym wynalazkiem, jest ściśle zależna od pomocy technicznej jaką odnajduje myśl humanistyczna w udoskonalonych aparatach i w ich obsłudze.

Technik radiowy jest dziś ważnym czynnikiem w upowszechnianiu kultury. Może nawet większym niż drukarz. Zasięg jego wpływu jest nieograniczony przestrzenią. W każdej sekundzie może dać milionom słuchaczy bądź rozrywkę, bądź naukę, a w każdym razie może ich oderwać od spraw codziennego życia i wnieść ich myśl do wyżyn, w których panuje czysta atmosfera ideałów artystycznych i kulturalnych.

Rola i znaczenie techniki radiowej jest dziś powszechnie znana. Zniwelowała ona przedewszystkiem kapitalne zagadnienie różnic poziomu kulturalnego wsi i miasta, prowincji i stolicy. Dzięki radju, dzięki udoskonaleniu jego techniki, mieszkaniac prowincji może uczestniczyć w życiu umysłowym w tym samym stopniu, jak mieszkaniac miasta. Odczyty sławnych uczonych i znanych pisarzy są dostępne tak samo na zapadłej wsi, jak w wielopiętrowym gmachu.

Przecież jeszcze tak niedawno wyjeżdżało się z prowincji do większych miast aby usłyszeć operę lub zobaczyć dobre przedstawienie teatralne. Oczywiście dostępne to było tylko nielicznym jednostkom, ogół skazany był na mizerne przeżuwanie tego wszystkiego co wyniósł ze szkół. Straszne to było wtedy położenie tej inteligencji, która żyjąc wspomnianymi czasami uniwersyteckimi, spędzonych w atmosferze nauki i sztuki, przez całe późniejsze życie zmuszona była do rozpaczliwej vegetacji na jałowym terenie małych miasteczek.

Dzięki technice radiowej czasy te należą do bezpowrotnej przeszłości.

Skalowanie na falach t. zw. krótkich.

Na falach od 200 do 600 m. zmiany są dość nieznaczne, i po pewnym przyzwyczajeniu się do odszukiwania stacji na innych, niż dotąd miejscach, niewątpliwie korzystne: stacje o większej mocy zostały od siebie dalej odsunięte. Kosztem zwiększania fal t. zw. wspólnych, t. j. wykorzystywanych przez kilka radiostacji odległych od siebie geograficznie. Aby wyskalować nanowo odbiornik radiowy, należy notatkę zawierającą wykaz stacji i cyfry skali, na których dawniej odszukaliśmy te stacje — czempredziej wyrzucić i zapomnieć. Po zaopatrzeniu się w nowy wykaz stacji, który podany był w krajowych i zagranicznych czasopismach radiowych — zasiadamy na kilka wieczorów przy odbiorniku, aby sporządzić sobie nowy wykaz. W tym celu odbieramy jakąkolwiek stację, znajdującą się mniej więcej na skali oznaczonej cyfrą 90—100. Będzie to prawdopodobnie Bukareszt I, stacja o dużej mocy, dobrze odbierana w całej Europie. Zanotowawszy cyfrę dokładną, pod jaką należy szukać tej stacji na skali, przegłędamy wykaz, aby zobaczyć, jaka stacja pracuje na fali krótkiej, a sąsiedniej z Budapesztem. Będzie to dobrze odbierana w Centralnej Europie stacja szwajcarska Beromünster. Zapisujemy jej położenie na skali, i jedziemy dalej w kierunku malejących cyfr skali, szukając stacji i notując ich położenie. Jeśli mamy wątpliwość, czy stacja, słyszana w odbiorniku jest tą, którą znaleźliśmy w wykazie — czekamy, aż spiker zapowie nazwę stacji i korygujemy ewentualną omyłkę, która wyniknąć mogła z braku odbioru danej stacji w tym dniu, z powodów atmosferycznych, małego zasięgu odbiornika lub innych przyczyn. Dlatego musimy poświęcić na sporządzenie wykazu kilka wieczorów — i nie martwić się odbiorem złym jednego dnia, gdyż może on pochodzić z przyczyn niezależnych ani od stacji, ani od odbiornika, i na drugi dzień, może być dla danej rozgłośni znacznie lepszy.

Czego nie przewidział Eiffel?

Ongiś światowej sławy konstruktor francuski, M. Eiffel, twórca najwyższej w świecie wieży stalowej swego imienia, wybudowanej w roku 1900 na terenach Wystawy Międzynarodowej w Paryżu — nie przewidywał z pewnością tego rozległego znaczenia, jakiego dzieło jego nabiera dziś w służbie publicznej. Nie przewidywał zapewne, że szczyt jego wieży przewyższą wkrótce drapacze nieba stawiane w Ameryce.

Z pewnością jednak, Eiffel nie przypuszczał, że maleńki budynek ustawiony na najwyższej kondygnacji wieży, pełnić będzie rolę, jakby agencji prasowej, rozsyłającej na cały świat, na niewidzialnych falach radiowych, wiadomości tak niezbędne dziś dla wojennej floty francuskiej i wojsk francuskich w Marokku.

Nowa forma arcyzmu.

Technika radiowa nie tylko upowszechnia wytwory sztuki w społeczeństwie, ale również nadaje im pewien swoisty kształt. Można już dziś mówić, że tak jak wynalazek taśmy filmowej stworzył nowy rodzaj sztuki, tak wynalazek radja dał początek nowym formom artystycznego przeżywania życia. Scenariusz dramatyczny, opracowany przez literata

i zrealizowany przez aktorów, dzięki współdziałaniu technika radiowego, nabiera nowego życia, które jest inne od realizacji scenicznej. Jedna i ta sama sztuka, widziana w teatrze i słyszana w radjo daje odmienne wrażenia.

Jeśli przejdziemy cały szereg wynalazków, które zrewolucjonizowały świat — jedno radio ostoi się wobec zarzutu, że służy nie czemu innemu jak kulturze. Telegraf, i telefon, aeroplan, maszyna parowa — wszystko to służy raczej komunikacji. I radio mogłoby być wprężnięte do tej służby, a nawet i jest częsciowo. Ale głównym zadaniem radjofonji pozostanie zawsze transmisja wartości duchowych w najszersze warstwy narodu. I w tem leży istotny walor techniki radiowej, które już dziś współdziała w stopniu bardzo poważnym z innymi czynnikami pobudzającymi życie intelektualne społeczeństwa.

Łącznik między elitą a masą.

Gdy się mówi o demokracji, że polega na wywyższeniu nizin do poziomów elity, to radio spełnia w tej pracy rolę czynnika pierwszorzędowego. I to nie tylko w łonie jednego społeczeństwa. Fale radiowe nie znają granic państw, ani granic kontynentów. Aparat, skonstruowany przez dobrego technika, przynosi słuchaczowi nie tylko najwyższe wartości własnej kultury, ale łączy go z całym niemal światem, pozwalając mu czuć się członkiem całej kulturalnej ludzkości.

Radio nieocenioną pomocą służby bezpieczeństwa.

Departament policji w Kanadzie, za instalował na samochodach policyjnych w Montrealu Quebecu, Ottawie i innych wielkich miast dominium, odbiorniki radiowe.

Dzięki temu urzędzeniu, w ciągu ubiegłego roku 1933, samochody policyjne mogły pośpieszyć z pomocą na 28.455 wezwań, a funkcjonariusze policyjni zdobili przyłapać na gorącym uczynku 403 przestępców, odszukać 1.477 osobników podejrzanych i odzyskać dla właścicieli 2.076 samochodów skradzionych. Obliczono prztem, że pomoc policyjna, dzięki komunikacji radiowej, zjawiała się na miejscu wypadku, przeciętnie w ciągu 2 minut i 7 sekund.

Italja — kolebką opery.

Na czem polega właściwie ten nadzwyczajny mir opery medjolańskiej? — Na dwóch rzeczach: Na tradycji i na teraźniejszym poziomie artystycznym. Teatr ten, zbudowany w roku 1777 z ogromną widownią o 3.600 miejscach, powstał w czasie najwyższego rozkwitu opery włoskiej, w czasie, kiedy w kwestjach śpiewu tylko Włochy były miarodajne, kiedy dwory europejskie zalane były italskimi artykułami, a muzycy z całej Europy jeździli tutaj, by się nauczyć rzemiosła operowego. Z Włoch czerpał swe pierwsze nauki późniejszy reformator opery francuskiej Krzysztof Wilibald Gluck, tu stawał pierwsze kroki w zawodowym życiu Wolfgang Amadeusz Mozart.

W ciągu XIX wieku musiały wprawdzie Włochy część swej hegemonji odstąpić na rzecz Francji i Niemiec, nie straciły jednak swojego bardzo wysokiego poziomu i wielkiego wpływu na rozwój muzyki.